Zeszyt IV. Kwiecień

PRZEGLĄD SPOŁECZNY

PISMO

naukowe i literackie.

LWÓW
DRUKARNIA POLSKA
1886.

TREŚĆ.

Szkice programowe.

II.

(Narodowość).

Prawo każdej narodowości do przechowywania i rozwijania swej odrębności kulturno-etnograficznej znajduje uzasadnienie w potrzebach i prawach jednostki ludzkiej w ogóle.

Jeśli bowiem „wszechstronny rozwój jednostki w kierunku fizycznym, moralnym i umysłowym“ jest celem najwyższym postępu społecznego — to wszelkie warunki sprzyjające osiągnięciu tego celu, poczytywać należy za dobroczynne i pożądane, wszystko zaś — co tu przeszkodę stanowi — jest społecznie szkodliwem. Do liczby takich warunków pomyślnych należy swoboda narodowościowa, która też w tem i dlatego uzasadnienie racjonalne posiada.

Antropologja nas uczy, że pomiędzy grupami etnograficznemi, na które rozpada się ludzkość, istnieją różnice znaczne w organizacji fizycznej i psychicznej, pod względem ich właściwości materjalnych i duchowych. Te to różnice warunkują w następstwie olbrzymią różnorodność religji, obyczajów, cywilizacji, form społeczno-ekonomicznych, różnorodność wszelkich słowem objawów socjologicznych, — którą przedstawia ludzkość.

Z faktu tego wnioskując odwrotnie, uznać potrzeba, że każda odrębna grupa etnograficzna winna mieć możność tworzenia dla siebie takich norm bytu, któreby najlepiej odpowiadały jej właściwościom plemiennym, bo tylko takie sprzyjać mogą

najlepiej jej rozwojowi społecznemu. Ustrój najbardziej idealny, zbudowany według praw i wskazówek sprawiedliwości bezwzględnej, jeśli jest narzucony narodowi, a nie wypływa z jego przyrodzonych właściwości, nie będzie mu pożytecznym. I sędzią może tu być nie kto inny, tylko naród sam. Tylko niczem nieskrępowana oryginalna twórczość narodu jest zdolną wyrobić cywilizację odpowiednią do jego usposobień, składu myśli, uczuć i t. d. Tylko przy zupełnej swobodzie narodowościowej rozwinąć się mogą należycie dodatnie strony charakteru narodowego. Dziś już wywalczono — a przynajmniej uznano — w teorji — prawo jednostki do swobodnego rozwijania swej indywidualności; otóż to samo w zastosowaniu do narodów jest ich prawem narodowościowem.

Opiera się prawo to na fakcie realnym, nie ulegającym zaprzeczeniu, którym są właściwości plemienne różnych grup etnograficznych. I odpowiedzią najlepszą na wszelkie teorje kosmopolityczne, negujące znaczenie narodowości w życiu ludzkości — może być pierwszy lepszy podręcznik antropologji.

By wykazać ile cierpi ludzkość na braku swobody narodowościowej, weźmy jakiś wypadek bardziej szczególny, naprzykład brak swobody językowej. Język, jak wiadomo, jest jedną z najważniejszych cech narodowości — skrępowanie jego rozwoju jest więc zarazem ważną przeszkodą w rozwoju narodowości. Cierpią na tem jednostki składające naród, cierpi przeto ludzkość cała. Jeśli nap. skutkiem pewnych warunków historycznych język narodowy jest prześladowany, jeśli wbrew wymaganiom racjonalnym pedagogiki wykład w szkołach odbywa się w języku obcym, wtedy dziecko każde na wstępie życia napotyka trudności niezmierne w przyswajaniu wiadomości i kształceniu umysłu. Rozwój umysłowy młodzieży zostaje utrudnionym i opóźnionym, a dla wielu, mniej zdolnych, wręcz uniemożebnionym. Któż zdoła obliczyć ile na tem traci ludzkość, której rozwój i postęp znajdują się przecież w stosunku prostym do ilości wykształconych i umysłowo rozwiniętych jednostek? Jeśli dalej skutkiem warunków politycznych język danej narodowo-

ści zajmuje w jej kraju stanowisko podrzędne, jeśli nie jest używany ani w administracji, ani w sądownictwie, ani w prawodawstwie — wtedy obok szkód bezpośrednich wyrządzonych ludności zmuszonej do posługiwania się w sprawach codziennych mało zrozumiałym obcym językiem, złe jeszcze większe wynika z braku możności wyrabiania się i bogacenia języka narodowego. Pozostaje on ubogim, nie posiada wyrazów do oznaczania pojęć przybywających w miarę podnoszenia się stopnia cywilizacji, nie jest wstanie wyrażać należycie wszelkich odcieni wciąż postępującej myśli ludzkiej. Literatura skutkiem tego znajduje się w zastoju; w następstwie zacieśnia się — w porównaniu z sąsiednimi narodami — koło myśli i pojęć czytelników tego języka, upada oryginalna twórczość! Jednostki zmuszone do czerpania wiedzy u obcych, asymilują się z narodowością panującą, a odrywając się od pnia narodowego, utrudniają tem samem dla pozostałej masy postęp dalszy. Ztąd w tej masie niższy stopień wiedzy, niższa skala pojęć. Jej rozwój ogólny zostaje opóźnionym, co sprowadza na wszystkich punktach rezultaty ujemne.

Wszystko więc, co krępuje w jakimkolwiekbądź kierunku swobodny rozwój cech narodowych danej grupy ludzi, obok cierpień bezpośrednio z ucisku wynikłych, tworzy w następstwie przeszkody dla rozwoju i postępu tej grupy — a zatem obniża sumę jej szczęścia i utrudnia możność osiągnięcia lepszych form bytu.

Ztąd też prawo swobodnego rozwoju narodowościowego powinno być uznane za kardynalny warunek szczęścia ludzkości, wypływający z przyrodniczych właściwości jednostek — jako ludzi.

Prawo to ograniczonem być może jedynie tylko m o ż n o ś c i ą n a t u r a l n ą. Dla rozwoju narodowościowego potrzebne są bowiem warunki pewne, w braku których powstanie odrębnej kultury narodowej staje się niemożliwem. Tak n. p. jednym z warunków podobnych jest pewna liczebna wielkość

danego narodu. Bliżej określić tej wielkości oczywiście niepodobna. Niemniej przeto jest rzeczą jasną, że plemię kilkutysięczne nie jest w stanie wytworzyć bogatej kultury własnej. Nie może ona wydać z pośród siebie dostatecznej liczby pisarzy i uczonych, dla stworzenia literatury i nauki rodzimej. Jest rzeczą mało prawdopodobną, by narodek niewielki mógł mieć oryginalnych myślicieli, pierwszorzędnych uczonych i artystów, by słowem doszedł do samodzielnej i bogatej cywilizacji własnej. Przeciwnie większem jest prawdopodobieństwem, że ulegnie wpływom asymilacyjnym sąsiednich narodowości.

Obok liczebności, możność rozwoju narodowego zależy także od bliskości i siły wpływów obcych. Nawet naród liczniejszy, lecz zacofany skutkiem historycznych warunków, w których przebywał, może się znajdować w położeniu nader niepomyślnem dla rozwoju odrębności kulturnej. Jeśli mianowicie obok sąsiadują z nim ludy liczniejsze, posiadające cywilizację wysoko posuniętą, wtedy nawet przy zupełnej swobodzie, przy braku jakiegokolwiek ucisku i przymusu, może się odbywać wynarodowianie i w końcu naród pochłonięty zostanie przez sąsiadów. Jacyś np. Bretończycy we Francji lub Baskowie w Hiszpanji, chyba że o wyrobieniu kultury narodowej marzyć nie mogą. W położeniu analogicznem znajdują się Serbowie Łużyccy w Prusach i Saksonji — ich paręsettysięczna wysepka ginie w morzu niemieckiem; ich literatura trzyma się tylko dzięki usiłowaniu kilku zaledwie jednostek. W podobnych wypadkach dla rozwoju narodowego brak poprostu realnych warunków przyrodniczych. A jednak i tu oczywiście nie prawo, lecz tylko możliwość tego rozwoju zakwestjonowaną być może. I podobne wyjątki nie zmieniają w niczem tej prawdy ogólnej — chociaż nie bezwzględnej — że rozwój kultury każdej narodowości jest warunkiem rozwoju jednostek do jej składu należących.

Zatrzymaliśmy się nieco dłużej nad wyjaśnieniem zapatrywania naszego na kwestją narodowości, ponieważ popierw-

sze, jest to w położeniu naszem pytanie niezmiernej wagi, powtóre, że pogląd nasz zdaje się być różnym tak od powszechnie panujących u nas doktryn, jako też od tych teorji kosmopolitycznych, które choć nowe, niemniej jednak szerzą się i jednają sobie zwolenników i w społeczeństwie naszem*).

Różnica, napozór wyłącznie teoretyczna, prowadzi, jakto zobaczymy później, do całkiem odmiennych wniosków praktycznych w wielu kwestjach naszego społecznego bytu.

Zgodnie z rozumowaniem powyższem w kwestji narodowości polskiej zapatrywanie nasze streszczamy w następujących słowach: możność naturalna rozwoju narodowościowego dla nas Polaków, wątpliwości żadnej ulegać nie może. Jest to fakt historycznie stwierdzony w przeszłości i stwierdzający się codziennie dzisiaj, kiedy pomimo srogiego ucisku literatura i sztuka polska rozwijają się, język się bogaci, poczucie świadomości narodowej rośnie i t. d. Tem samem więc prawo nasze do rozwoju narodowościowego grunt realny zyskuje i podstawą jego jest wyłącznie i jedynie fakt istnienia dwunastu miljonów Polaków, dla rozwoju społecznego których, rozwój narodowości polskiej jest warunkiem nieodzownym. W obec tego faktu wszelkie inne argumenty historjozoficzne lub polityczne stają się najzupełniej zbyteczne.

Ani podnoszenie zasług historycznych lub wskazywanie na jakieś posłannictwo dziejowe narodu polskiego nie zwiększa

---

*) Ci ostatni zdaje się nie chcą wiedzieć, że wyznawanie teorji narodowości nie przeczy zgoła istnieniu interesów i potrzeb wspólnych wielu ludziom, a i ludzkości całej. Obok różnic antropologicznych istnieją bowiem jeszcze większe podobieństwa, warunkujące w wielu kierunkach tożsamość form bytu, jednakowość interesów. I w tych granicach teorja kosmopolityzmu, jako wyraz wspólnych wszystkim ludziom dążności, nie tylko rację bytu posiada, lecz w niczem idei narodowości nie przeczy. Staje się ona wówczas dopiero jej przeczeniem, gdy przechodzi w negowanie praw narodowych, w usuwanie interesów narodowości na stanowisko podrzędne, w szablonowe traktowanie wszelkich kwestji bez uwzględnienia kolorytu lokalnego, jaki im nadaje narodowość, słowem gdy przechodzi w patologiczną odmianę kosmopolityzmu. Przeciwko tej to właśnie nader pospolitej odmianie występuje wrogo teorja narodowościowa.

naszego prawa narodowego, ani go nie zmniejszają elukubracje przyjaciół wschodnich i zachodnich na temat o nierządzie w dawnej Polsce lub o niezdolności plemienia polskiego do politycznego życia. Bo gdybyśmy żadnego organizmu państwowego nie byli stworzyli, gdybyśmy historji żadnej nie posiadali, gdyby nawet dotąd nie istniała ani sztuka, ani literatura, ani nauka polska, — niemniej jednak poprostu dlatego, że istniejemy, potrzebujemy szkół polskich dla naszych dzieci, książek polskich dla czytających Polaków, potrzebujemy mieć możność tworzenia dla siebie takich form bytu, któreby najlepiej odpowiadały naszemu charakterowi narodowemu i sprzyjały najskuteczniej postępowi materjalnemu i moralnemu naszego narodu. Jak nie podnosi i nie wyjaśnia praw narodowych to, żeśmy wydali Kopernika, Siemiradzkiego lub Moniuszkę, jak nie usprawiedliwia ich i nie czyni słuszniejszemi ta okoliczność, żeśmy byli przedmurzem Europy przed dziczą wschodnią lub żeśmy roznieśli podobno kulturę europejską po dalekim wschodzie, — tak też z drugiej strony nie ujmuje im w niczem, że szlachta polska ciemiężyła polskich chłopów lub żeśmy mocą stosunków naszych do Słowiańszczyzny sprzeniewierzyć się musieli idei słowiańskiej. Wszystkie podobne zdarzenia historyczne lub właściwości naszych dziejów albo schlebiają dumie narodowej, stwierdzając w plemieniu polskiem pewne zdolności rasowe i z tego względu pozwalają z otuchą i nadzieją spoglądać w jego przyszłość, — albo też odwrotnie, wskazują w tej przyszłości konieczność ważnych prac nad odkupieniem błędów dziejowych i przerobieniem przywar narodowych. Lecz w kwestji o prawie rozwoju narodowości polskiej zgoła nic nie znaczą i w rachubę nie powinny być brane.

W tym względzie zarówno niektórzy patrjoci polscy, jak i wrogowie narodu naszego składają często dowód niezmiernie płytkiego i powierzchownego pojmowania faktów społecznych. Pierwsi upatrują w apologji starej Polski środek utrwalenia naszego bytu i wzmocnienia narodowości; gotowi są nazwać zdrajcą każdego, kto badając dzieje nasze szuka w nich prawdy

i nie widzi potrzeby okłamywania ogółu przez ukrywanie jej z przed ócz jego. Przyjemnem jest, prawda, — zwłaszcza w ciężkich chwilach obecnych — zatrzymywanie wzroku na świetnych kartach dziejów naszych i pięknych obrazach przeszłości. Lecz dla dojrzałej myśli narodu stokroć jest pożyteczniejszem badanie objektywne, przedstawiające tę przeszłość w jej rzeczywistem oświetleniu. Czyż w gruncie rzeczy — nie jest właśnie brakiem patrjotyzmu, czy nie jest niewiarą w żywotną siłę narodu — to pojęcie o narodowości niby o czemś sztucznem, czego dotykać niewolno pod groźbą stłuczenia lub rozsypania? Czy nie jest ubliżającem dla naszej godności, to okłamywanie siebie i innych o szczególnych zasługach dzisiejszych lub o wielkich zdolnościach plemienia naszego, co wszystko ma jakoby służyć do stwierdzenia i pokrzepienia naszego prawa do swobodnego narodowego życia? Zwłaszcza wobec ludu polskiego taka polityka jest u nas szczególnie zalecaną. Jeśli się lud dowie, że go szlachta uciskała — (o czem niby nie wie!) — to się odwróci do ideałów narodowych! Smutnie by to zaiste świadczyło o tych ideałach, gdyby tak miało być w istocie. My sądzimy, że lud nasz był, jest i będzie polskim zupełnie niezależnie od tego, czy mu historycy nasi dowodzić będą, że Polska szlachecka była rajem chłopów, czy też rząd rosyjski będzie go pouczać w książeczkach, że jedynym jego dobroczyńcą był cesarz Aleksander II. „Polskość“ to nie akt woli, to fakt przyrodniczo-socjologiczny, to rezultat pewnej sumy cech i właściwości plemiennych, różniących daną grupę ludzkości od jej otoczenia, nie zależny nawet od uświadomienia sobie przez naród swej odrębności. To ostatnie jest tylko warunkiem obudzenia się życia narodowego. Jednostki ulegają wciąż wynarodowieniu, zwłaszcza kosmopolityczna inteligencja z łatwością asymiluje się z plemieniem obcem i nawet całkiem zaniknąć może (nie było jej przez lat 200 w Czechach, a przecież naród czeski istnieć nie przestał); lecz masa przechowa swą narodowość, aż się doczeka warunków przyjaźniejszych dla jej rozwoju (mamy tego dowód choćby u nas

na Szląsku i Mazurach pruskich). To wynaradawianie się jednostek jest bezwątpienia w życiu narodu zjawiskiem bardzo niepomyślnem: przez utratę sił, zwykle zdolniejszych, i przejście ich do obozu wrogiego, zostaje utrudnionym i opóźnionym rozwój masy narodu; ta ostatnia może być skazaną na długi zastój duchowy, nawet całkiem pozbawioną wyższej kultury narodowej (Czesi aż do odrodzenia, Ukraina, Litwini). W gruncie jednak jest to tylko kwestją czasu: prędzej czy później, gdy potrzeby duchowe dojrzeją w masach, gdy się rozwinie świadomość odrębności, — zapotrzebują one własnej kultury duchowej i wtedy rozwój narodowości nastąpić musi, bo w nim tylko te potrzeby zaspokojenie znaleść mogą.

Słowem — powtórzmy to raz jescze: f a k t i s t n i e n i a d w u n a s t o m i l j o n o w e j g r u p y e t n o g r a f i c z n e j p o l s k i e j j e s t t r w a ł ą r ę k o j m i ą n a s z e g o n a r o d o w e g o b y t u, j e s t z a r a z e m p o d s t a w ą r e a l n ą n a s z y c h p r a w n a r o d o w y c h i i c h s a n k c j ą e t y c z n o - s p o ł e c z n ą.

Polska w czasie wielkiej rewolucyi francuskiej
i wpływ tej ostatniej na nią

przez

Bolesława Limanowskiego.

(Ciąg dalszy)

Nie zadowolniono się jednak samą propagandą: postanowiono poruszyć miasta i skłonić je do czynnego wystąpienia. W tym celu zaproszono miasta koronne i litewskie, ażeby każde z nich przysłało po dwóch delegatów do Warszawy w końcu listopada 1789 r. *Sto czterdzieści jedno* miasto odezwało się na ten okólnik i przysłało 269 deputowanych. Po wzajemnem porozumieniu się, podpisali oni w dniu 24 listopada „Akt zjednoczenia miast“, w celu odzyskania utraconych praw. „Rozważywszy — powiadają w Akcie — prawa tak szczególne miast, jako też ogólne całemu stanowi naszemu miejskiemu służące, zostaliśmy przekonanemi, jak względnym, w czasie najwyższego potęgi swojej stopnia, był rząd krajowy na los stanu miejskiego i jak obszerne za to z dostatków tegoż czerpał pomoce, a porównanie dawnego czasu z późniejszym dało nam poznać, iż w tej samej gradacyi, w jakiej siły narodu wątleć, w takiej nam służące prawa i zaszczyty słabieć zaczęły“. Kraków, zaufany w swe większe od innych miast przywileje, nie przystąpił do związku.

Należało teraz rozpocząć czynne kroki. Deputowani miejscy udali się więc 2-go grudnia do króla i Małachowskich, Stanisława i Jacka. Król i marszałek sejmowy przyjęli deputacyją życzliwie, doradzali jednak umiarkowanie. „Z uniżonością wyrażajcie prośby i racyje“ — mówił Stanisław August. Tak jemu jak Stan. Małachowskiemu wręczyli oni prośbę, zredagowaną przez Kołłontaja. „Nadszedł czas — mówili w niej do króla i do stanu rycerskiego -- w którym znajomość sprawiedliwości i prawdy (to najużyteczniejsze ludzi oświecenie) ośmiela nas mówić w otwartej szczerości, wynurzyć najrzetelniejsze do ojczyzny przywiązanie, a na tak ważnych pobudkach odwołać się do praw nam służących, jako obywatelom miast wolnych, jako właścicielom ziemi, od wieków

przez miasta posiadanej, jako ludziom, którzy użytek praw swoich czują, nie tylko dla siebie, lecz dla powszechnego ojczyzny dobra; a w świetle sprawiedliwości waszej, najjaśń. Rzeczypospolitej stany zaufani, wątpić nie mogą, że im to wrócić i zatwierdzić zechcecie, co prawo natury każdemu człowiekowi, a najdawniejsze i największe przodków ustawy, w czasie szczęścia i sławy polskiej, stanowi miejskiemu zabezpieczyły".[1] Zaniedbanie praw miejskich pociągnęło za sobą okropne skutki. „Miasta podupadłe, kraj zubożały, handel ścieśniony, słowem smutne obaliny i gruzy tam, gdzie niegdyś kwitnące i zamożne wznosiły się grody!"[2] „Nie rozumiej, prześwietny stanie rycerski, ażebyśmy nie znali winnego dla ciebie poszanowania. Ty jesteś i będziesz zawsze koroną i ozdobą narodu polskiego... Lecz im to czucie głębiej tkwi w sercach naszych, im go chętniej wyznajemy, tem większe mamy do mniemania prawo, iż wzajemną słuszność nam oddając, umysł Twój wspaniały poniżenia ani pokrzywdzenia znieść dłużej nie zechce stanu naszego..."[3] „Obijają się o uszy nasze zagraniczne rozruchy, lecz my w nieskażonej dla najjaśniejszej Rzplitej polskiej wierności ściśle się zachowujemy i zachować nie przestaniemy, i tym duchem spokojności natchnięci, wszystkie kroki nasze kierujemy. Rwie gwałtowne okowy swoje niewolnik, gdzie panujący nad nim, tłumi wszelkie prawa człeka i obywatela. Lecz w Polszcze, gdzie król, obywatel pierwej, znał swobody i zaszczyty wolności, nim przyjął na siebie ciężar korony, gdzie poważny senat i prześwietny stan rycerski prawdziwym stróżem jest wolności, gdzie duch jej tak świetle dziś wygurował, każdy o tem w sercu jest przekonanym, że wolność jest przyrodzoną człowiekowi, że prawa jej są świętemi, że podupadłe dźwignąć, osłabione wzmocnić należy, i na tak trwałej zasadzie wznieść gmach ogromny wolnego i wiecznie trwałego rządu".

Mieszczanie w swem podaniu prosili, aby wrócono im dawne prawa; aby nie więziono ich bez sądu; aby pozwolono obywatelom miast koronnych kupować dobra ziemskie, jak to się działo na Litwie; aby szlachta mogła zapisywać się do stanu mieszczańskiego; aby mieszczanie nie mogli dosługiwać się do wyższych stopni duchownych i wojskowych; aby byli wolni od jurysdykcji starościńskiej; aby wolno im było układać się w swoich sprawach z komisyjami skarbowemi; aby pozwolono im zasiadać w komisyjach skarbowych, wojewódzkich i policji; aby mieli

---

[1]) Str. 234. Zbiór mów i pism niekt. Roku 1790 w Wilnie, Od miast koronnych i litewskich do Najjaśn. Pana i Najjaśniejszych Rzplitej skonfederowanych stanów (233—261).

[2]) Str. 235.

[3]) Str. 239.

głos przy układaniu traktatów: aby w asesoryi byli reprezentowani przez własnych asesorów.

Lubo deputacyja miejska w prośbie tej zapewniała szlachtę o swojem dla niej poszanowaniu i nie wyszła z granic wielkiego umiarkowania, stronnictwo staroszlacheckie zawrzało silnym gniewem. Wprawdzie, sami mieszczanie nie przedstawiali potęgi, którejby się obawiać bardzo należało, ale mogli oni łatwo stanąć na czele pospólstwa a wówczas staliby się groźną i niebezpieczną siłą wobec szlachty. Kiedy więc na sesyi 15 grudnia Kublicki podniósł sprawę miast, Jezierki kasztelan łukowski wystąpił z oskarżeniem przeciwko magistratowi warszawskiemu, „który namówiony lub własną zuchwałością zapalony, ważył się listem cyrkularnym miasta wszystkie z korony i Litwy konwinkować, co ja buntem nazywam; a że mniej ma mocy niż złości, ognia zapalić nie potrafił“. Jezierskiemu głównie chodziło o to, ażeby „na autora spisku ścisłą inkwizycyją i kary wyznaczyć“... a jeszcze bardziej dowiedzieć się, „kto go do tej śmiałości w Polszcze niepraktykowanej przyprowadził“.[4]) W podobnyż sposób odgrażał się Zieliński kasztelan biecki. Suchodolski i Butrymowicz byli także niezadowoleni z pretensyj wielkich — jak się wyrażali — mieszczan. Przeciwko tym mówcom jednak podniosły się liczne i rozsądne głosy. Matuszewicz, Gułakowski, Kublicki, Stanisław Potocki, Garnysz miarkowali zapędy staroszlacheckie. Na sesyi 17 grudnia, ks. Poniatowski podskarbi litewski popierał także w silnych wyrazach żądania mieszczan a przytem przypomniał konieczność także poprawienia losu rolników“. „Nakazuje nam tę o rolnikach pamięć — powiadał — nie tylko ludzkość, moralność i religija, ale jeszcze i dobro całego kraju. Z powodów tak wielkich wynikającym obowiązkom gdy uczyniemy zadosyć, możemy być pewni, iż odtąd nie będą się o nasze uszy obijać przerażające odgłosy buntów, rzezi i innych podobnych strasznych pogróżek, które są okropniejsze nad wszystkie klęski, i które obywatelowi więcej jeszcze o ojczyznę, niżeli o siebie samego lękać się każą“. [5]) Najznakomitszą jednak mowę w sprawie mieszczan wypowiedział Chreptowicz podkanclerzy litewski, na sesyi sejmowej dnia 18 grudnia. Wytłumaczył on, że Rzplita cieszyć się tylko z tego może, że miasta pomyślały o związku, bo to przysporzy siły krajowi, i kończył piękną swoją mowę temi słowy: „jeśli stany Rzplitej oświeconem prawodawstwem dadzą życie miastom martwym, uczynią epokę sejmu dzisiejszego sławną potomności, wielbioną od ludu“. [6])

[4]) Str. 43 i 44. T. XI.

[5]) Str. 32, T. XI.

[6]) Str. 4. T. XI.

Trzydniowe te rozprawy skończyły się dosyć pomyślnie dla mieszczan. Jednozgodnie uchwalono wybrać osobną deputacyją, któraby się zajęła sprawą miejską i zbadała, co można uczynić dla mieszczan. Do komisyi tej weszli posłowie: Brzostowski, Gułakowski, Kicki i Mikorski; senatorowie: Felkerzamb, biskup Okęcki i Ożarowski.

Mowa Jacka Jezierskiego wywołała piśmienną odpowiedź p. t. „Uwagi bezstronne nad mową JW. Jezierskiego kasztelana Łukowskiego, mianą na sejmie dnia 15 grudnia 1789 r. przeciwko mieszczanom" — jak się zdaje — pióra Barsa. „Alboż to — zapytuje autor — do samej szlachty, która ledwo trzydziestą część składa narodu, Polska cała należy? Ta cząstka arystokratyczna cóżby sama znaczyła? Byłaż sama wolną? Nie podlegałaż sromotnie cudzemu mocarstwu? Więc żeby się istotnie i wolną i potężną stała nazawsze, z inemi stanami ściślej przez udzielenie im swych swobód i korzyści zjednoczyć się powinna... Wole 500.000 a dajmy i milijona ludzi nie składają woli i pięciu milijonów osób, a zatem mniejszość, niemająca pełnomocy od większości, prawa jej przepisywać nie mocna, ani zwać się narodem". Uwaga ta, która później coraz częściej i coraz głośniej powtarzano, wskazuje, że w mieszczaństwie zaczynała już kiełkować myśl objęcia przewodnictwa nad całem pospólstwem. Jezierski nie puścił tych uwag płazem. W broszurze: „Wszyscy błądzą, rozmowa pana z rolnikiem" (Warszawa, 1790), uderza namiętnie na zachcianki polityczne mieszczaństwa i nie waha się podejrzywać, iż mogłoby ono udławić własną matkę, a w tem — podług niego — najwięcej są winni pismacy warszawscy, którzy szerzą zarazę francuską i usiłują podburzać miasta i chłopstwo. Broszura ta wywołała ze swojej strony nową odpowiedź p. t. „Nie wszyscy błądzą, rozmowa Bartka z panem rzecz całą objaśni" (Warszawa, 1790). Autor już dosyć silnie zaznacza wspólność interesu mieszczańskiego z chłopskim, przypominając szlachcie, kto to istotnie daje Rzeczypospolitej wojsko, fabryki, chleb, pieniądze.

Wogóle sprawa miejska zajmowała dosyć silnie publicystykę spółczesną. „Burmistrz" wysławiał opiekę ojcowską szlachty i w imieniu mieszczan zrzekał się uroszczeń do praw politycznych. Odpowiadał na to „Wójt", wyjaśniając, jaką to była ta ojcowska opieka. Wyjaśnienie takie wywoływało nowe oskarżenie i zarzuty. W ten sposób mnożyła się liczba broszur w sprawie mieszczańskiej, a większa ich część bądźco bądź zgadzała się na rozszerzenie praw politycznych mieszczaństwa, odmawiając mu jednak prawa udziału w reprezentacyi sejmowej.

Sama reprezentacyja sejmowa, nie spostrzegając się — rzec można — miękła w swych przesądach staroszlacheckich i ulegała potężnemu pra-

dowi zasady równości powszechnej. Przekonywa nas o tem pomiędzy innemi bardzo ważna uchwała o rekrucie, powzięta na posiedzeniu 4 grudnia. Szlachta prawie mimowiednie utracała najważniejszą podstawę swego przywileju. Ta konskrypcyja, którą królowie wszędzie wywalczać z trudem musieli, tu bez żadnego oporu wprowadzoną została. Zgodzono się nawet na wniosek Krasnodębskiego — zmodyfikowawszy go jednak znacznie — przyznać wolność żołnierzowi, skoro ten — z pozwoleniem dziedzica — odbędzie dwanaście lat służby wojskowej i żadnego występku kryminalnego nie popełni.

Nowe przekonania, o które żwawo ucierano się w publicystyce i w sejmie, upowszechniały się zwolna w całym kraju, nawet w Galicyi, którą zawsze uważano jako siedlisko wielkich panów. Świadczy o tem Memoryjał o Galicyi, jeszcze w czerwcu 1789 r. przesłany przez Lucchesiniego do Berlina. [1] Mówiąc o możności powstania w Galicyi, Lucchesini nie wątpi, że powszechna jest tam chęć wrócenia do Polski, przyczem dodaje, że szlachta tameczna jest tego zdania, że ona sama ani oswobodzić ani obronić kraju nie może, i że trzeba innym stanom przyznać także pewne prawa.

„Duch buntu zasiany przez Polaków w Galicyi, nawet w Węgrzech“ jak pisał Józef II. w grudniu 1789 r. — zmuszał już był tego cesarza do uznania konieczności wielu ustępstw. Jeszcze więcej zmuszało do tego ogromne prawdopodobieństwo wojny z Prusami, może nawet z Polską. Następca Józefa II., Leopold II. istotnie poznosił wiele uciążliwości, na które narzekano w Galicyi. Oczekiwano jeszcze większych ulg i swobód. Nadto usposobienie to podsycano z Warszawy. Skutkiem tego zapanowało wielkie ożywienie pomiędzy obywatelstwem galicyjskiem. Za staraniem Kazimierza Rzewuskiego, którego tajemny komitet warszawski przysłał do Galicyi, ułożono akt związkowy, zyskano w krótkim czasie 5,000 podpisów szlachty i wyznaczono komisyję we Lwowie, złożoną z najcelniejszych w kraju obywateli. Po miastach cyrkułowych potworzyły się także komisyje. Do Wiednia wysłano deputacyją i żądano osobnej dla Galicyi konstytucyi, która dawała monarsze inicyjatywę prawodawczą i prawo *veto*, ale ostateczne zatwierdzenie praw przez ich zaregestrowanie i ogłoszenie miało należeć do sejmu. Tak w sejmie jak w deputacji pośredniczącej, organie wykonawczym sejmu, mieli zasiadać także przedstawiciele miejscy.

Biorąc w uwagę najgwałtowniejsze ówczesne potrzeby Rzeczypospolitej, które poseł wileński, Korsak, nieustannie przypominał sejmowi t. j. skarb i wojsko, należy uczynić ciężki zarzut ogółowi sejmujących

[1]) Treść tego dokumentu podaje ks. Kalinka. T. II. Str. 87 i 88.

posłów, i czyniono im ten zarzut, [2]) ale jeżeli ma być mowa o czynności reformacyjno-rewolucyjnej, która odbyła się w łonie sejmu, to brak pośpiechu — jak już zauważyłem poprzednio — wychodził na korzyść postępowych poglądów, z jednej bowiem strony liczba ich zwolenników powiększała się a z drugiej strony uwidoczniała się coraz bardziej różnica pomiędzy temi, którzy świecili szychem frazesów wolnościowych a temi, którzy sięgali do istoty rzeczy, mniej się troszcząc o pozorną formę.

Pomijając więc wszystkie, często nader rozwlekłe rozprawy, nad kwestyjami politycznemi i sprawami bieżących potrzeb, ponieważ nie należą ściśle do naszego przedmiotu, zatrzymamy się cokolwiek dłużej nad pracą deputacyi, do poprawy rządu wysadzonej.

Deputacyja, która o wiele postępowszym hołdowała zasadom aniżeli większość sejmowa, mniemała słusznie, iż pospieszne przedstawienie projektu nie wyszłoby na jego korzyść, i że należało poprzednio przygotować umysły do jego przyjęcia. Kiedy jednak nalegano, ażeby pospieszyła ze swoją pracą, mniemała, iż korzystniej będzie rozprawy o prawach kardynalnych, jako o przedmiocie najbardziej drażliwym, odłożyć na później, a wnosić konstytucyją częściami do uchwały. Przedstawiła więc na sesyi 7. maja 1790. r. wstęp do konstytucyi, jej podział i rozdział o sejmikach. Przeciwko jednak takiemu częściowemu wnoszeniu konstytucyi, podniosły się liczne glosy, i 10. maja uchwalono, aby deputacyja, dopiero po ułożeniu całego projektu, złożyła pracę swoją sejmowi. Jak już wtedy pokazało się — większości sejmowej najbardziej chodziło o kwestyją obieralności króla.

Deputacyja, widząc, że się nie uda jej zwlekać długo z tą drażliwą kwestyją, w dniu 5 sierpnia wniosła do sejmu rozdział o prawach konstytucyjnych i kardynalnych, z umysłem nie rozdzielając ich, a to dla tego, że do zmiany tych ostatnich t. j. kardynalnych konieczną była jednomyślność, do zmiany zaś pierwszych wystarczała większość trzech czwartych głosów. Użyła także drugiego fortelu. „Raz w myśli odrażenia sejmu i narodu od praw kardynalnych, drugi raz w nadziei, że zmniejszenie ich zręczniej wypadnie, skoro prosto od samych sejmujących rugowane będą, umieściła deputacyja w rozdziale swoim liczniejsze nad potrzebę artykuły praw kardynalnych, z niemałem przeciwników swych zdziwieniem“. [3])

[2]) Przebóg! już tylko dwa miesiące do wiosny, a jeszcze ani podatków ani wojska nie widać. Str. 6. T. VII. Zbiór mów i pism niektórych... 1789 w Wilnie. Głos województw, ziem i powiatów do swych posłów sejmujących roku 1788. i 1789.

[3]) Str. 122. O ustanowieniu i upadku kostytucyi 3. maja.

Rozprawy trwały przez cały miesiąc wrzesień. Szlachecka większość podejrzewała wszędzie podstęp przeciwko swym wybujałym prawom i starała się jak najsilniej obwarować swoją pozycyją. Zadecydowała ona nawet, że „rzeczpospolita, jedno i nierozdzielne składając ciało, sama *w stanie szlacheckim* prawa dla narodu stanowić jest mocna, i tym tylko naród posłuszeństwo winien“. Nigdy jeszcze szlachta nie zaznaczała tak otwarcie swej wyłączności. Był to niejako punkt kulminacyjny, od którego powinno było rozpocząć się zstępowanie. I rzecz zastanowienia godna, szlachta, wprowadzając do konstytucyi, to ostateczne przypieczętowanie swej wyłączności, głośno jednak oświadczała, że tem nie chce zamykać drogi stanowi miejskiemu do uzyskania praw politycznych.

Najwięcej wszakże sporów wzbudziła kwestyja obieralności króla. Przeciwnicy dziedziczności tronu wiązali tę sprawę ze wzmocnieniem władzy królewskiej i przedstawiali rzecz tak, jakoby szło o zatratę wolności i ustanowienie despotyzmu. Tymczasem — jak to widzimy w listach Kołłontaja do Stanisława Małachowskiego i w Przestrogach Staszica — stronnictwo reformacyjne, uznając konieczność następstwa tronu, obmyśliwało jednak sposoby należytego ograniczenia władzy królewskiej.[4]) Zresztą, któż najenergiczniej wykazał niebezpieczeństwa elekcyi króla i przemawiał za sukcesyją tronu? Właśnie ci, co najgoręcej współczuli rewolucyi francuskiej, co najgruntowniej wyzwolili się z przesądów szlacheckich. Najważniejszą w sejmie w tym przedmiocie była mowa Niemcewicza na sesyi 16. września. Po długich sporach, zgodzono się ostatecznie na to, czego żądała deputacyja, t. j. odwolania się uniwersałem w tej sprawie do woli obywateli na sejmikach.

W ten sposób sprawa dziedziczności tronu przeniosła się na pole publicystyczne i na sejmiki, zwołane na dzień 16. listopada.

W obronie dziedziczności tronu pisali: biskup Krasiński, Kołłontaj, Franciszek i Jacek Jezierscy, Staszic, Tadeusz Morski, Karpiński, Leonard Krzywkowski. Obrońcy sukcesyi tronu pisali najczęściej otwarcie, pod własnem nazwiskiem. Przeciwnie, przeciwko dziedziczności tronu pojawiały się przeważnie broszury anonimowe. Pomiędzy zaś temi, co otwarcie wystąpili, Wojciech Turski i Adam Wawrzyniec Rzewuski nic

---

[4]) Kołłontaj bardzo dobrze mówi o mięszaniu tem pojęć w liście do Benedykta Hulewicza. „Oto prosiłbym ich — pisze — aby głośno przeczytali moje pisma, a pokazałoby się, że co oni nazywali nastawaniem na wolność, to się prawdziwym językiem nazywa nastawaniem na anarchiją. Co oni nazywali wielbieniem monarchii, to się zowie po rzetelnemu wielbieniem sukcesyi tronu. Nierozumienie wyrazów było zawsze owocem kłótni między ludźmi, którzy przywiązawszy się do uprzedzeń początkowych, ani sami prawdy szukać chcieli, ani komu innemu dozwolili“. Str. 104. Listy Kołłontaja.

nie mają wspólnego z możnowładcami, Sewerynem Rzewuskim i Szczęsnym Potockim.

Wojciech Turski, zwykle przedstawiany nienawistnie jako lekkoduch i awanturnik, stał się — rzec można — ofiarą swego temperamentu. Wrażliwy, ale szczery i prawy, zapalał się do wszystkiego, co wydawało mu się szlachetnem. [5]) Rewolucyja francuzka olśniła go. Z tego powodu nie zawsze miał jasny pogląd na sprawy krajowe. „Despotyzm królewski“, na który uderzano we Francyi, nie miał w Polsce realnego znaczenia; tu właściwie był *despotyzm szlachecki*. Nie ten był więcej rewolucyjny w Polsce, co powstawał na władzę królewską, lecz ten, co nastawał na wyłączność szlachecką. „Kto mi da — słuszną robił uwagę krytyk dziełka Turskiego — aby przesąd i uprzedzenie szlachty mogło kiedyżkolwiek rozważyć, iż niewolnicze rolników pęta, pogarda mieszczan przeszkadzały Polszcze być rządną i zawsze przeszkadzać będą? [6]) Czy postawienie władzy silnej, chociażby królewskiej nawet, nie wyszłoby na pożytek reform społecznych? Turski nie odrazu to zrozumiał. Pisał więc zawzięcie przeciwko dziedziczności tronu. Spostrzegł się jednak i cofnął. „Byłem dotychczas — pisał w późniejszym czasie — tej konstytucyi (3. maja) najprzeciwniejszy. Gorącą żądzę kontrrewolucyi chłodziła we mnie tylko bojaźń ostatecznej przez wewnętrzne zamieszki zguby narodu. Tą trwogą ziębiony, nie byłbym nigdy sam ani radą ani uczynkiem i jednej przydał iskierski do powszechnego pożaru, lecz gdyby się był zajął, byłbym jego najzupełniejszym podżegaczem, chcąc w płomieniach jego widzieć spaloną sukcesyją. Tak byłem przekonany, że Polakowi, czy to pod swoją, czy to pod obcą żyć monarchją, wszystko jest jedno, że każde jarzmo jarzmem jest zawsze i wszędzie. Tego zdania, tej żądzy, tej rozpaczy, byłem do dnia 14. lutego 1792. r., do ostatnich sejmików“. Kiedy jednak przekonał się, że ogromna, prawie jednomyślna, jest większość za ustawą 3 maja, wyznał szczerze, iż nie czuje tej pychy w sobie, aby myślał, iż lepiej od całego narodu zna własne dobro jego. „Gniewać się na cały naród, jest to się wyzuć z miłości ojczyzny, zostać obcym człowiekiem i stracić prawo do obywatelstwa. Wypowiedzieć wojnę całemu narodowi, nie może być tylko

[5]) Staszic lepiej oceniał Turskiego, mówiąc: „Cnotliwy Turski! po nieśmiertelnej pamięci Rejtanie, ty drugi stały obrońca skrzywdzonej ojczyzny, przyjmij podziękowanie odemnie, w którego sprawie stawasz. Jestem bowiem jeden z tych nieszczęśliwych Polaków, których bezecny Poniński w niewolę zaprzedał“. Przestrogi, str. 110. Ogiński, który z Turskim był razem w Konstantynopolu, nie wątpi o szczerości jego patryjotyzmu. T. II. Str. 138. i 139.

[6]) Str. 23. Krótkie uwagi nad pismem J. J. Woyciecha Turskiego o królach, o sukcesyi, o przeszłym i przyszłym rządzie — w Warszawie 1790. r.

szaleństwem albo publicznym występkiem. Przeciwko kilkunastu milijonom ludzi trzeba podobnej liczby, której obce chyba potencyje dostarczyć mogą. Ale użyć obcych potencyj przeciw własnemu narodowi, ach precz od prawych synów Ojczyzny, ta niepatryjotyczna myśl! [1])

Równa szczerość jak z pism Turskiego, wygląda także z *Uwag nad rokiem 1790.* Autor, przejęty czcią dla rewolucyi francuskiej, wielbiciel Rousseau, widzi w „samowładztwie“ główne źródło złego. Z tego powodu spiera się z Lingnet'em. Autor oświadcza się za utrzymaniem Rzeczypospolitej, i pragnąłby nawet, ażeby ustrój republikański zapanował na całym świecie. „Nic zdrożnego — powiada ten nieznany autor — stąd dla społeczności wyniknąćby nie mogło, jeżeli ten szlachetny sentyment miłości ojczyzny zastąpi uniwersalna miłość ludzi. W takim przypadku każda prowincyja, mała czy wielka, każdy powiat, miasto, miasteczko nie różniłoby się niczem od siebie, zważaliby się wszyscy być obywatelami jednego królestwa ziemi, jednej ojczyzny dziećmi. Uwolniłyby się społeczeństwa od owych wściekłych wojen, najazdów, drapieży, niewidzianoby rozpustnych bogaczów wyszydzających nędzę; nie litowanoby się nad umierającemi z głodu, udzielenie się pomiarkowane dostatków zastąpiłoby miejsce tych dwuch ostateczności. Nie widząc złego przykładu zbytków, nie pałałby nikt opływania w nie zazdrością“. [2]) Zdaniem autora jednak, bez gwałtownej rewolucyi społecznej nie możliwem jest zaprowadzenie takiego stanu rzeczy. — Jak widzimy, w pisemku tem odzywa się niedostatecznie wprawdzie ujaśniona myśl socjalistyczna. Rozbrzmiewa ona silniej w dwóch dziełach, ogłoszonych także w 1790 r. i także z powodu kwestyi obieralności królów. Dziełami temi są: „Adama Wawrzeńca Rzewuskiego kasztelana witebskiego o formie rządu republikańskiego myśli“. (W Warszawie 1790. Tomu 1-go część 1-sza i część 2-ga) i „Przestrogi dla Polski z teraźniejszych politycznych Europy związków y z praw natury wypadające — przez pisarza Uwag nad życiem Jana Zamoyskiego“. (Dnia 4 stycznia 1790).

Adama Wawrzyńca Rzewuskiego wypada raczej nazwać marzycielem, aniżeli politykiem. Wnuk hetmana Wacława, partyzanta Stanisława Leszczyńskiego, syn Stanisława Ferdynanda konfederata barskiego, wyniósł z domu przywiązanie gorące do republikańskich instytucyj Polski, miłość ojczyzny, marzenia reformatorskie i zamiłowanie literatury. Służył w wojsku i posłował. Rousseau wywarł wielki wpływ na jego umysł.

Podług Rzewuskiego nie tyle zważać należy na prawa, ile na obyczaje i edukacyją. „Obyczaje dają moc, przewagę i trwałość prawom;

[1]) Wojciecha Turskiego nawrócenie się polityczne.
[2]) Str. 10 i 11.

edukacyja tworzy obyczaje; bez obyczajów nie ma rządu, bez edukacyi nie ma narodu, gdyż edukacyja nic innego nie jest, tylko sposób rządzenia sobą, okolicznościami i ludźmi". [1]) „Edukacyja, wolnym narodom właściwa, powinna uczyć obywatelstwa". [2]) Jak widzimy, wychowanie, nauka jest najważniejszym czynnikiem społecznym dla naszego autora. Wychowanie powinno przedewszystkiem wpajać miłość ojczyzny. Z nauk jest najważniejszą historyja, albowiem „historyja jest nauką cnoty i obyczajów". [3])

Rzewuski nie wykazał, w jaki sposób same obyczaje i sama edukacyja zdołałyby odmienić nadużycia społeczne. Bez uchwał prawodawczych niepodobna byłoby myśleć o zniesieniu npd. poddaństwa. Lubo z drugiej strony, czyż nie obyczajom i edukacyi, a przez nie opinii publicznej, na wpływ której autor wskazuje, w znacznej części takie uchwały zawdzięczać by należało? Zrobiono autorowi zarzut wcale niesłuszny, jakoby o uprawnieniu mieszczan i o poprawie losu ludu wiejskiego ani wspominał nawet. [4]) Wprawdzie, nie podał on prawnych i określonych wniosków w tym względzie, co zresztą — jak widzimy — zgadzało się z jego założeniem, ale zapatrywanie się jego na ten przedmiot jest zupełnie jasne. „O jakbym żądał — powiada w jednem miejscu, aby żadnej klasy uprzywilejowanych ludzi nie było, aby miasto chłopów i mieszczan, byli tylko ludzie i Polacy". [5]) „Ja mniemam — mówi w innem miejscu — że każde prawo jest złe, którego gruntem jest niesprawiedliwość; jakże ludzie mają kochać cnotę i słuszność, gdy prawo, skąd szczęście i prawidło postępków swoich ma czerpać obywatel, poświęca wyrokiem swoim krzywdę jednych a przewagę drugich". [6]) „Jeźli monopolija — pisze w *Liście do przyjaciela w Warszawie mieszkającego* (List odpowiedni) — w handlu są tak szkodliwe; cóż dopiero owe przywileje udzielne i ekskluzywne, stanowi jednemu nadane dla uciśnienia i pognębienia swoich braci i współ-ziomków?" Autor oświadcza otwarcie, że „człowiek równe wziął od natury do szczęścia prawo, że kto bliźniemu swemu to prawo odbierać usiłuje, jest godzien ohydy i wzgardy publicznej gwałtownik, że moc tyranów jest tylko w kłopocie i głupstwie niewolników". I wszystko to mówi z powodu włościan, a do tego dodaje, *że naród, w którym jest siedem milijonów niewolników a milijon wolnych,*

---

[1]) O formie rządu republikańskiego myśli. Str. 41.

[2]) Str. 42.

[3]) Str. 59.

[4]) O literaturze politycznej sejmu czteroletniego — napisał Roman Pilat. w Krakowie 1872 r. Str. 77.

[5]) Część I. Str. 168.

[6]) Część II. Str. 35 i 36.

koniecznie, pomimo nawet najlepszych praw swoich upaść powinien" [1]) Nie był więc wcale zwolennikiem ustroju, w którym włościanin nie tylko sam nie miał żadnej własności, ale nadto był własnością szlachcica. Taki porządek — podług autora — niszczy społeczność, a na to miejsce „albo wojnę ustawiczną łotrów z łotrami, albo nieustanne zgnębienie i męczarnie słabszych postanawia". [2]) Równość i niepodległość są ideałem autora. Zaleca on nauczycielom starać się oto, ażeby uczniowie ich „we wszystkich sprawach życia swojego okazali się być prawdziwie równemi, aby jeden drugiemu nie służył, a jeśli go los szczupłym niedostatku otoczył i ścisnął okręgiem, aby raczej pracował, raczej rzemiosłem lub handlem się bawił, raczej wąski uprawiał swój zagon, niż gdyby najznakomitsze w kraju posiadał zaszczyty, przedawszy siebie któremu z królów lub jakiemu z możnych wspól-ziomków". [3]) Szczególnie oburza się na nierówność, którejby podstawą był majątek. „Za cóż chcecie — zapytuje z powodu znanej uchwały o szlachcie zagonowej — do obrad sejmikowych przypuścić chłopów i nowo-chrzczeńców dla tego, że są bogaci, a odepchnąć dawną i prawdziwą szlachtę dla tego, że jest uboga?" [4])

W poglądach swoich na stosunki międzynarodowe autor wznosi się na stanowisko nader szczytne, zajęte w ostatnich czasach przez pisarzy socyjalistycznych. Przytoczyłem już w jednym z poprzednich rozdziałów [5]) bardzo charakterystyczny w tym względzie ustęp.

Autor oceniał znakomicie stosunki europejskie. Nie na prawach, lecz na przemocy i podstępie są one poparte. I jak tu mówić o prawach narodów?! „Póki narody wszystkie wolnemi nie będą, póki władza wydawania wojny odjętą królom nie zostanie; czyli raczej póki ludzie nie ośmielą się berła tyranowi pokruszyć, trony despotów powywracać, a na to miejsce mieczem słusznej zemsty uzbrojone, ale wieńcem oliwnym ozdobne prawo, wyżej siebie przy styrze rządu nie osadzą, póki lud sam przez siebie widzieć, sam sobą i dla siebie rządzić nie zacznie, póki te narody, które przez królów rządzone nie wzdrygały się zostawać stopniem tronu, albo raczej nikczemnem błotem, które panujący swawolnie deptał, póki — mówię — te narody barbarzyńskiemi nazwane nie będą, póty niech się żaden nie odważa wydawać prawa narodów, czynić zbiory traktatów, dowodzić i usprawiedliwiać kradzieże i gwałty śmiałego wodza stu tysięcy rozbójników: cóż są te prawa, cóż te przymierza dla

---

[1]) O formie rządu republ. Część I. Str. 90.

[2]) Ibidem.

[3]) Część I. Str. 104 i 105.

[4]) Część II. Str. 35 i 36.

[5]) Fizyjokraci, industryjaliści i socyjaliści w przedrewolucyjnej epoce. Rozdział ten był drukowany w genewskiej Równości (1879 r.)

tych, którzy interes własny jedyną swą cnotą nazwali, u których największa sława, największy zaszczyt jest umieć korzystać z słabości sąsiadów i przyjaciół swoich? Europa jest własnością dwudziestu familij; te więc traktaty nie są dla narodów, są tylko dla dwudziestu familij pisane". [1]) Sformułowanie prawa międzynarodowego jest znakomite. „Co człowiek człowiekowi — powiada nasz autor — obywatel obywatelowi, toż samo naród winien narodowi". [2])

W kwestyi sukcesyi tronu Rzewuski odmienił następnie swoje zapatrywanie się. Po ogłoszeniu konstytucyi 3 maja, w *Liście do przyjaciela w Warszawie mieszkającego* sam wyjaśnia tego powody. „Byłem wprawdzie — pisze — przeciwny sukcesyi tronu; umysł mój gorący, serce tkliwe zawsze mnie dalej samego unosi; nie wstydzę się wyznać, iż nie widząc w Polsce ani prawdziwej wolności, ani cnoty, ani rządu, możem dla mojej Ojczyzny lękając się o jej wolność, romansowe szczęścia wystawił przybytki; alem się potem gruntownie przekonał, iż w takim czasie i w pośród narodów takich żyjemy, w pośród których zupełnie wolnemi być nie możem; a lepiej jest część prywatnej wolności postradać, aby zachować w całości wolność powszechną Narodu, sławę nieśmiertelnych przodków naszych i imię Polaka, któreby zapewne przez zawistnych sąsiadów naszych wydarte nam zostało, gdyby wolność nieograniczona szlachcica ciężyła nad wolnością publiczną i polityczną narodu".

O dziele Rzewuskiego można powiedzieć, że całość jego przenika uczucie socyjalistyczne: pragnienie równości i szczęścia powszechnego; myśli jednak wyraźniej sformułowanych w tym względzie nie znajdujemy. Są tam pragnienia, marzenia, przeczucia, ale rozumowań i wniosków mało. U Staszica już jest inaczej. Poprzednio zaznaczyłem ustęp nawet, w którym przypuszcza możność własności kolektywnej i jej dobrą stronę uwydatnia.

Stanisław Staszic (1755—1826), mąż rozległych poglądów, oddany cały krajowi, przodujący nieustannie społeczeństwu myślami i czynami, wyrobił swoje przekonania nie tylko pod wpływem postępowej literatury filozoficznej, ale także — może nawet najwięcej — skutkiem doświadczenia, jakiego doznał sam na sobie. Uwydatnia to jego autobiografija. „Wszędy — powiada — w każdym stanie widziałem przed sobą nieprzełamane zapory, wszędzie wstydzić się musiałem urodzenia mego (mieszczańskiego). Syn rodziców znanych z cnoty i uczciwości, z ojca, dziada, w ciężkich ojczyzny razach poświęcających się za nią, odepchnięty byłem od urzędu, od ziemi, od wszelkiej sposobności służenia krajowi

[1]) Część I. Str. 92 i 93.

[2]) Str. 92.

memu. Niesprawiedliwość ta boleśnie serce moje zraziła. Szukałem źródła tego pokrzywdzenia, tego zboczenia towarzystw ludzkich z drogi ogólnego ich szczęścia. Zasępiły bardziej te myśli zadane wówczas ojczyźnie mojej nielitościwe ciosy, ojczyźnie, która acz dla ludzi urodzenia mego niewdzięczna, przecież droższą mi była nad wszystko, bo była rodzinną ziemią moją, bo była nieszczęśliwą, bo miłość ku niej i tkliwe na krzywdy jej uczucia wyssałem z piersi rodziców".

Od lat dziecinnych przeznaczony do stanu duchownego, Staszic kształcił się najprzód w szkołach krajowych, następnie uczęszczał na uniwersytety niemieckie i wreszcie w Paryżu oddawał się z zamiłowaniem naukom przyrodniczym, korzystając z wykładów i wskazówek takich znakomitych uczonych. jak Dubanton, Buffon, którego *Epoki Natury* tłumaczył, d'Alembert. Geologija i górnictwo stały się najulubieńszemi jego naukami.

Wybicki, który poznawszy Staszica, ocenił jego wysokie zdolności, gruntowną naukę i szlachetny sposób myślenia, polecił go eksklanclerzowi, Jędrzejowi Zamojskiemu, na nauczyciela jego synów. Okoliczność ta miała wielkie znaczenie w życiu Staszica. Ułatwiła mu dokładniejsze poznanie spraw krajowych, i jak Wybicki pod pewnym względem torował drogi Jędrzejowi Zamojskiemu, tak znowu Staszic uderzył w dzwon trwogi, widząc, że „najcnotliwszy w Polsce obywatel" za to, że „zalecał sprawiedliwość dla wszystkich ludzi", „w niebacznym narodzie utracił zaufanie". Uderzeniem tem w dzwon trwogi były: *Uwagi nad życiem Jana Zamojskiego.*

Dzieło to, odbijające potężnie wpływ wielkich myśli Rosseau, co wykazałem poprzednio, [1]) zawiera w sobie wiele myśli socyjalistycznych, że przytoczę tu jedną. „Dobry obywatel — zdaniem Staszica — zaprzysięga posłuszeństwo prawu; przyznaje społeczności ogólną wszystkiego własność; wolę osobistą zamienia w wolę powszechną; swoję osobę niszczy, a przeistacza rzecz całą w część jedną, która namiętności, sławę, dobro i miłość wspólną z ciałem ogólnem mając, uszczęśliwia siebie, uszczęśliwiając wszystkich". [2]) *(C. d. n.)*

---

[1]) Morelly, Mably i Rosseau, jako pisarze socyjalistyczni. Rozdział ten był drukowany w piśmie lwowskiem rusińskiem „Mołot", a część o Morellym w niemieckiem berlińskiem: „Zukunft" (w maju 1878 i węgierskiem: „Uj Nemzedék" (Nowe pokolenie w 1880 r.)

[2]) Str. 152. Wydanie Turowskiego.

Położenie włościan i własności ziemskiej w XIX wieku w W. Ks. Poznańskiem.

Przez **K. D.**

(Ciąg dalszy).

Celem przedstawienia stanu własności włościańskiej w W. Ks. Poznańskiem, podajemy dwie tablice, z których jedna wskazuje podział i mobilizację własności ziemskiej w granicach stanu włościańskiego, druga podział własności ziemskiej na 5 kategorji w 1858 r.

Gospodarstwa włościańskie sprzężajne.			Gospodarstwa drobne.		
Lata	Ilość gospodarstw	Przestrzeń	Lata	Ilość gospodarstw	Przestrzeń
1823	48.151	3,456.678 Morg.	1823	? ?	170.041 Morg.
1859/60	48.008	3,374.336 „	1859/60	34.084	299.794 „
1867	? ?	3,319.064 „	1867	? ?	365.682 „
1880	39,389	3,292.992 „ *)	1880	42.150	469.000 „ **)

Aby dać w drugiej tablicy dokładne pojęcie o podziale ziemi pomiędzy włościan właścicieli, stawiamy dla porównania obok cyfr dla Poznańskiego, cyfry przeciętne dla Pomeranji i całego państwa.

Podział własności ziemskiej na 5 kategorji w 1858 r., z których 1) obejmuje mniej niż 5 morgów; 2) od 5—30 morg.; 3) od 30—300 morg.; 4) od 300—600 morg.; 5) 600 i wyżej.

Cyfry absolutne.				Cyfry względne.					
Prow. Poznańska		Pomeranja		Prow. Poznańska		Pomeranja		Przecięt. dla Prus	
Ilość właść.	Przestrzeń w morgach	Ilość właść.	Przestrzeń w morgach	Ilość właśc.	Przestrz. w morg.	Ilość właśc.	Przestrz. w morg.	Ilość właść.	Przestrz. w morg.
24.792	59.301	32.653	80.590	23.16%	0.58%	35.48%	0.77%	51.33%	2.38%
32.852	527.795	29.099	400.405	30.85%	5.16%	31.62%	3.82%	28.83%	8.99%
45.232	3,327.672	26.247	2,863.780	42.48%	32.54%	28.52%	27.31%	18.29%	88.32%
1.082	448.914	1.436	372.163	1.01%	4.39%	1.56%	5.45%	0.70%	6.45%
2.656	5,863.098	2.595	6,569.734	2.50%	57.33%	2.82%	62.65%	0.85%	43.86%
				100%	100%	100%	100%	100%	100%

*) „Bauerliche Zustände“ T. III. Str. 4.

**) Cyfry wskazujące ilość i przestrzeń gospodarstw drobnych (patrz str. 24 w tekście) („Kleinländliche Stellen“) w 1880 r. są przybliżone. Jest pewna różnica między moim rachunkiem opartym, dla 1823. 1859. 1869. r., na cyfrach podanych przez A. Meitzena i przez wydawnictwa biura berlińskiego a rachunkiem landrata Nathusiusa (p. Berichte f. Socialwis.), wedle którego

Do tych 5ciu kategorji, które przyjęte są przez Biuro statystyczne w Berlinie, Meitzen dodaje jeszcze jedną specjalną kategorję, nie posiadających nic, oprócz chaty, tak zwanych *Leerhäuser*. Liczono ich w 1868 r. 17.082. (p. Meitzen *Der Boden* T. I. Rozdz. XV. str. 514.)

Tablica Nr. 2 wskazuje nam, iż koncentracja ziemi w rękach wielkich posiadaczy w końcu 1go perjodu, t. j. w 1859 r. jest ogromną. Z jednej strony 57.35% całej przestrzeni uprawnej, skupione w rękach 2.50% całej ilości posiadaczy, a z drugiej znów 23.16% posiadaczy, nie posiada więcej nad 0.58% całej przestrzeni — w jednej Pomeranji tylko koncentracja jest silniejszą jeszcze.

Przytem ta koncentracja ziemi w Poznańskiem wzmaga się. Statystyka oficjalna stwierdza to cyframi dla perjodu 15 lat, od 1851—1866 r., a Ankieta z 1875 r. uznaje fakt koncentracji ziemi dla wszystkich powiatów w prowincji bez wyjątku.

Jako przykład weźmijmy choćby tylko dobra rycerskie (*Rittergütter*):

Lata	Ilość dóbr rycerskich	Przeciętna przestrzeń dóbr rycerskich
1851	1.566	3.210 Morgów
1858	1.501	3.395 „
1866	1.497	? ? „

Z tablicy tej widzimy jasno, iż liczba bezwzględna dóbr rycerskich zmniejszała się od 1851—1866 r., gdy tymczasem przeciętna ich przestrzeń wzrastała. Zastanawiając się nad takiem skupianiem się ziemi w rękach większych właścicieli, znajdziemy jego główną przyczynę w wywłaszczaniu włościan, począwszy od 1860 r., t. j. od roku, w którym wydane były ostatnie postanowienia, dotyczące emancypacji włościan.

„K-e. Stellen“ ma być 44.470 w 1880 r. wynosząca przestrzeń 522.642 morgów. Otóż wypada zauważyć, iż cyfry landrata N., oznaczające ilość „Spannf.-Nahrungen“ w 1859 r. są różne od cyfr Meitzena i „Zeitschrift d. Preuss. St. Bureau, wyciągniętych bezpośrednio ze sprawozdań ankiety 1859 r., a zatem mających całą wartość prawdy.

Wedle ankiety ilość włościańskich gospodarstw sprzężajnych
w 1859 r. — 48.008 wynosi 3,374.536 morgów magdeb.
Wedle Nathusiusa „ — 47.869 „ 3,391.379 „ „

Oprócz tego zauważyć wypada, iż jest pewna różnica między cyframi Nathusiusa, a cyframi zawartemi w sprawozdaniu przedstawionem na sesji L-Oek. Kollegium, chociaż i jedne i drugie pochodzą z tego samego źródła: ze sprawozdań Ankiety partykularnej, zarządzonej przez Ober-Prezydium poznańskie.

Koniecznem było zrobić te uwagi; trudnem bowiem jest — w obec tego, iż w 1859 r. (resp. 1867) nie było genaralnej ankiety, — dać dokładne cyfry co do stanu własności włościańskiej w 1880 r.

W rzeczy samej, już w końcu pierwszego perjodu włościanie tracą 63.359 morgów, które przechodzą do rąk panów; w drugim zaś perjodzie wywłaszczenie włościan przyjmuje ogromne rozmiary.

Od 1859—1880 r. 2.832 sprzężajnych gospodarstw znika zupełnie z powodu, iż posiadłości ich stanowiące przestrzeń 170.233 morgów, przechodzą bezpośrednio do rąk panów, przyłączone zostają do Rittergüter*) „Wcielanie posiadłości włościańskich do pańskich dóbr w prowincji Poznańskiej, przyjęło rozmiary kolosalne". Temi słowy charakteryzował prof. Miaskowski mobilizację własności włościańskiej na sesji L-Oek. Kollegium w 1883 r. **).

Lecz ta koncentracja ziemi odbywa się nietylko na korzyść panów, czyli Rittergüter; ma ona miejsce w granicach stanu włościańskiego: i tam wypada na korzyść najbardziej obszernych gospodarstw włościańskich, czyli „Spannfähige". W rzeczy samej, jeśli stosownie do oceny przyjętej przez (*Zeitschrift des Preuss. Stat. Bureau V. Jahrgang I. II. Heft*), przyjmiemy 20—30 morgów, jako przeciętną wielkość takiego gospodarstwa sprzężajnego, które może zabezpieczyć minimum potrzeb jednej rodziny, nie zmuszając ją do szukania zarobku na stronie, to w takim razie zobaczymy, iż kategorja włościan sprzężajnych w Poznańskiem posiada w ogóle znacznie więcej po nad tę normę, a mianowicie: w obwodzie Bydgoskim 100—150 morgów, a nawet do 200 morgów; w obwodzie Poznańskim 60—80 morgów, a nawet do 100.

Zeitschrift oblicza na 644 ilość gospodarstw w Poznańskiem, z których każde ma wyżej nad 300 morg.

Ta koncentracja ziemi w rękach nieznacznej kategorji włościan będzie bardziej jeszcze uderzającą, jeśli przypomnimy sobie (tab. Nr. 2 na str. 272), iż obok tak możnych włościan znajduje się przeszło 24.000, mających razem około 60.000 morgów, co wynosi mniej niż $2^1/_2$ morgi na właściciela, a nadto 17.000 chałupników, nie posiadających ziemi.

Opierając się na powyższych faktach i cyfrach możemy wnioski nasze, dotyczące własności rolnej w 1858—9—60 r. sformułować w następujących pięciu punktach:

1) Ilość właścicieli rolnych (panów i chłopów) wynosi około 120.000
2) Panowie łącznie z państwem, kościołem etc. posiadają 60% całej uprawnej przestrzeni; zatem wypada ona na korzyść około 3%

*) Patrz „Verhandlungen des K. k. Landes-Oekonomie Kollegium". Febr. 1883 str. 176.

**) Patrz: Ibid str. 176.

całej ilości właścicieli (patrz: 5. i 6. kolumna w dole. Tab. Nr. 2. str 272).

3) Biorąc za punkt wyjścia wielkość 20—30 morgów dla przeciętnego niezależnego gospodarstwa, włościan właścicieli należy podzielić na dwie kategorje, z których każda będzie zawierała około 55.000 właścicieli.

4) Pierwsza z tych dwu kategorji posiada przeszło 80% gruntów, należących do całego stanu włościańskiego — są to gospodarstwa sprzężajne.

5) Druga zatem zawierająca włościan niesprzężajnych, wkluczając tu i 17.000 chałupników, posiada mniej niż 20% ziemi należącej do włościan.

Te pięć punktów mogą być zawarte w jednej ogólnej konkluzji: W końcu pierwszego perjodu reformy włościańskiej, połowa włościan nie może wydobyć z własności swej minimum środków koniecznych do życia i to z powodu bardzo nierównego podziału gruntów.

Jeśli sobie przypomnimy teraz, że właściwie ekspropriacja na wielką skalę, zaczęła się dopiero w drugim perjodzie reformy, t. j. od 1859/60 r., że przyjęła ona wówczas rozmiary „kolosalne“, używając określenia prof. Miaskowskiego, możemy *a priori* twierdzić, iż sytuacja włościan podczas tego drugiego perjodu powinna była mocno się pogorszyć.

W rzeczy samej tab. Nr. 1. (na str. 272) wskazuje nam iż w 1880 r. było w Poznańskiem:

Sprzężajnych gospodarstw 39.389, których przestrzeń równała się 3,292.992 morgów magdeburskich.

Drobnych gospodarstw 42.150, których przestrzeń równała się 469.000 morgów magdeburskich.

Jeżeli odtrącimy liczbę 3,761.992 (3,292.992+469.000) od 4,226.901 (liczba morgów, stanowiących całkowitą przestrzeń posiadłości włościańskich *)), to otrzymamy w rezultacie około 505.000 morgów magdeburskich, które przypadają na całą resztę mieszkańców rolnych.

Jakżeż ilościowo określić tę „resztę“?

Ludność całkowita Poznańskiego (patrz wyżej § III. „Przemysł.“) — 1,703.000 mieszkańców, z czego ludność rolnicza wynosi — 1,225.400 (p. Berichte T. III. str. 2). Jeśli od cyfry 1,225.400 odtrącimy: a) dwie kategorje włościan właścicieli, co razem wyniesie 336.925 osób

*) Patrz str. 203. Zauważyć tu musimy, iż z dwóch podanych przez oficjalne źródła cyfr, bierzemy większą, wypadającą bardziej na korzyść włościan.

(licząc po $4\frac{1}{2}$ osoby na jedną rodzinę) jeśli dla bardziej ścisłego rachunku odtrącimy następnie b) 28.000 na rodziny pańskie (włączając tu posiadaczy dóbr duchownych, domenów etc. — co razem jest maxymalnie wyrażonem przez cyfrę 28.000) to otrzymamy następujący rezultat:

a) 25% włościan posiada 3,761.992 magd. morgów ziemi; są to włościanie właściciele, którzy mogą wyżyć z dochodów od swych posiadłości;

zaś *b*) 75% włościan posiada 505.000 magd. morgów ziemi.

Konkluzję tę możemy sformułować w nast. sposób:

$\frac{3}{4}$ całej ilości włościan znajduje się całkowicie lub też w pewnym stopniu w stanie robotników rolnych t. j. bądź posiadają 4, 5 nawet do 10 morgów na rodzinę, lecz wedle orzeczenia prof. Goltza „nie są w stanie wyżywić się z takiego gospodarstwa i muszą uciekać się do pracy najemnej (tak zwani *Einlieger*), bądź posiadają jedną tylko chałupę bez gruntów t. zw. *Leerhäuser* (patrz str. 273); bądź to wreszcie nie mają ani gruntów, ani chałupy.

Konkluzję naszą możemy uzupełnić w następujący sposób:

Zważywszy, iż podczas drugiego perjodu ilość gospodarstw sprzężajnych zmniejszyła się o 17%—18% *), a grunta gospodarzy sprzężajnych zmiejszyły się tylko o 3—4% **), że grunta gospodarstw sprzężajnych, częściowo ***) parcelując się pomiędzy drobniejszymi właścicielami-włościanami powiększyły przeciętny obszar gospodarstw tych ostatnich; że z drugiej jednak strony to powiększenie nie podnosi przeciętnej przestrzeni po nad normę 10—11 morgów, i że normata wedle twierdzenia oficjalnej statystyki, nie jest w stanie dostarczyć minimum koniecznego dla utrzymania jednej rodziny; stawimy następujące twierdzenie: w W. Ks. Poznańskiem, zachodzi upadek średniej własności (*Mittelbesitz*), a szczególniej tych włościan, których działy są stosunkowo mniejsze, bez polepszenia sytuacji drobnych właścicieli.

§. 6.

Położenie włościan-właścicieli w Niemczech.

Wszelkie fakty wyżej skonstatowane i wszelkie cyfry przytoczone, przedstawiają nam tylko bardzo ogólne rysy położenia włościan. Wypada

---

*) a mianowicie z 48.008 gospodarstw w 1859/60 r., spadła na 39.389 w 1880 r. (patrz str. 272. Tab. Nr. 1. 2. kolumna).

**) a mianowicie z 3,374.336 morgów 1859/60 r. (patrz tamże).

***) Powiadamy częściowo, gdyż jak widzieliśmy na str. 374, przeszło 170 tysięcy morgów przyłączone zostały do majątków pańskich od 1859—1880 r.

dotknąć szczegółów, aby mieć dokładne pojęcie o ich realnym bycie. W tym celu podzielimy kwestję tę, odpowiednio do konkluzji wyżej wypowiedzianych na 2 części: 1) włościanie-właściciele, 2) włościanie-niewłaściciele, czyli robotnicy rolni.

Przechodząc do badania bytu włościan poznańskich, koniecznem jest zrobić następujące orzeczenie. Prowincja Poznańska położoną jest geograficznie w północno-wschodniej części Niemiec, która zasadniczo różni się od południowo-zachodniej, ogólnemi warunkami swego socjalno-ekonomicznego rozwoju, a następnie ukonstytuowaniem i przeważającą formą własności ziemskiej, i znajduje się z punktu całokształtu stosunków socjalnych znacznie niżej od tej ostatniej.

Ta różnica stosunków, stanowiąca pewną linję demarkacyjną pomiędzy 2ma częściami Niemiec, przyjętą została jako kryterjum tak w badaniach Meitzena, Goltza etc. jak i przez ankiety, zarządzone drogą oficjalną.

Sytuację włościan poznańskich można logicznie określić, opierając się na dwu następujących faktach:

1) na ogólnych warunkach, w jakich się znajduje klasa włościańska w Cesarstwie Niemieckim.

2) na poszczególnych warunkach, właściwych prowincji Poznańskiej.

Sytuacja włościan w Cesarstwie Niemieckiem wystawioną jest bardzo dobitnie w 2. źródłach oficjalnych: w *Bericht über die Verhandlungen des 6. Kongresses deutscher Landwirthe Berlin 1875.* 2) i w sprawozdaniu prof. Miaskowskiego, przedstawionem na sesji *Landes Oekonomie-Kollegium* w lutym 1883. Streścimy w krótkich słowach podane w tych źródłach fakta, wyciągając z nich ogólne wnioski.

Upadek włościańskiego stanu w Niemczech uznanym był jednozgodnie przez wszystkich członków kongresu rolniczego, przedstawiających interesa rolnictwa niemieckiego, bez różnicy kierunków politycznych. „Nieszczęśliwy stan stosunków“, stwierdzony faktami przez delegata z Brunswiku — p. Griepenkerta, był niejako wyrazem ogólnej opinji, reprezentowanej na kongresie. Emigracja włościan do Ameryki, będąca bezpośrednim rezultatem upadku drobnej własności rolnej, była także jednozgodnie uznaną jako źródło prawdziwego zła społecznego.

Jako ogólne przyczyny nieszczęśliwego bytu włościan były uznane: a) charakter ekonomicznego rozwoju społeczeństwa ze wszelkiemi jego ujemnemi stronami, 3) matactwa finansowe wielkich kapitalistów, protegowanych przez prawodawstwo państwowe, c) nakoniec brak kredytu dla włościan*). Kongres ten wskazał na kilka środków najbliższych dla

*) Patrz w „Bericht über die Verhandlungen“ mowę delegata Dra Perrot str. 205—208.

szybkiego zapobieżenia takiemu fatalnemu stanowi rzeczy jako to: a) reakcję prawodawczą celem powstrzymania parcelacji drobnej własności przez odpowiednie prawa; b) organizację kredytu przy warunkach sprzyjających włościaninowi (patrz tamże: sprawozdanie Schumachera str. 189—203).

Przejdźmy do drugiego źródła.

Prof. Miaskowski z Wrocławia objaśnia sytuację włościan w Niemczech na zasadzie specjalnych warunków, w jakich się obecne rolnictwo znajduje w ogóle, a własność włościańska szczególnie *). Całe w ogóle rolnictwo, wedle opinji prof. Miaskowskiego, przechodzi przez kryzys, podobny do kryzysów, które grasowały w Niemczech w drugim i trzecim dziesiątku niniejszego stulecia z tą różnicą, iż kryzys obecny jest daleko niebezpieczniejszym od poprzednich z powodu swych przyczyn wewnętrznych, i dzięki wpływom zewnętrznym, jak zamknięcie rynku angielskiego dla produktów rolnictwa niemieckiego, oraz konkurencja Ameryki, Rosji i Węgier. Trzy te kraje produkują przy warunkach d a l e k o b a r d z i e j s p r z y j a j ą c y c h niż Niemcy i sprowadzają obniżanie się cen na produkty niemieckie; a przytem co jest najbardziej strasznem w skutkach tej konkurencji, to ta mianowicie okoliczność, iż nie można oznaczyć w przyszłości ani czasu jej trwania, ani jej granic.

Kryzys, groźny z natury swej dla interesów rolnictwa w ogóle, jest tembardziej okropny dla bytu włościan właścicieli.

Kwestja tak postawiona przez prof. M. bezpośrednio wiąże się z kwestjami, poruszanemi przez ministerjum rolnictwa w Niemczech, **) które w sumie grupują się około jednego naczelnego pytania: jakiem jest zadłużenie się własności włościańskich, jakiemi są jego przyczyny, i jakiem jego powiększanie się?

Odpowiedź na takie zasadnicze pytanie napotyka wedle zdania prof. Miaskowskiego pewne trudności, gdyż możliwem właściwie jest określić długi zaciągnięte na hipotekę, gdy tymczasem długi osobiste, zaciągane bardzo często przez włościan, z natury swej nie nadają się do odpowiedniego określenia władzom publicznym. Tym sposobem nie można sądzić o całości długu na podstawie jednej tylko hipoteki, i to tembardziej, że często nadarza się przejście jednej formy długu w drugą. Prof. Miaskowski, opierając na wielolicznych wskazówkach władz lokalnych i na odpowiedziach podanych przez te władze do ministerjum rolnictwa, dochodzi do zupełnie określonych wniosków, które tembardziej są wiarogodne, iż w obec wyż przytoczonych okoliczności, w pew-

*) Verhandlung des L. Oek. Kollegium. Ibidem str. 500—633

**) Patrz cyrkularz z dnia 2-go czerwca 1882

nym stopniu optymistycznie jeszcze rzecz przedstawiają, czyli mówiąc inaczej, wypowiadają część tylko prawdy namacalnej, obrachowanej przez władze publiczne.

Wnioski te są o tyle charakterystyczne iż pozwalamy sobie przytoczyć je dosłownie po niemiecku. Oto jak brzmią one:

1) „Für den grössten Theil des Bauernstandes scheint mir ein Rückgang des Wohlstandes seit den 60 Jahren unzweifelhaft vorzuliegen“ (patrz Verhandlungen Ibid. str. 60.)

2) Die Verschuldung in den letzten 10—20 Jahren hat erheblich zugenommen. Durch ziffermässige Belege für einzelne Gemeinden, Kreise und Prowinzen wird diese Thatsache sehr warscheinlich gemacht“. (Ibid. str. 610).

Poszczególne przyczyny podobnej sytuacji, wedle prof. Miaskowskiego, są następujące:

1) ogólne podwyższenie się potrzeb wśród klas pracujących, pod wpływem wypadków 1870 r., lecz przytem takie podwyższenie się, które wyprzedziło podniesienie się płac roboczych;

2) cały szereg nieurodzaji po 1870 r., a przy nich powiększenie się podatków dodatkowych na cele gminne, które się znajdowało w prostym stosunku do zmniejszenia się czystego dochodu klasy pracującej. *)

Jako chroniczną przyczynę zła podaje on prawo sukcesji i dziedzictwa, które pod najrozmaitszemi formami (podział w naturze, indemnizacja w pieniądzach wypłacana przez jedynego sukcesora, renty dożywotnie etc.) prowadzi wprost do odłużania się posiadłości włościańskich.

W obec zupełnego braku kredytu dla włościan prawo sukcesyjne, będąc nieograniczonem od chwili promulgowania prawa o sukcesji z dnia 20-go grudnia 1843 r., pozostawia zupełnie otwarte pole dla lichwy, która pociąga za sobą przymusową sprzedaż własności włościańskiej i rujnując właściciela, sprowadza go do stanu najemnego robotnika rolnego.

Taką jest ogólna sytuacja włościanina w Niemczech, na podstawie faktów zebranych przez władze, w takich czarnych, aczkolwiek jeszcze nie całkowicie rzecz malujących kolorach wystawioną ona jest na kongresie rolniczym i na sesji kollegjum ekonomicznego przez ludzi kompetentnych i w każdym razie dalekich od posądzenia o partyjność dla interesów włościanina. (Dokończenie nastąpi).

---

*) Te podatki dodatkowe stanowią częściowo 200—300%, a czasem nawet i 500% głównego podatku bezpośredniego.

Poezje Włodzimierza Wysockiego.

Wszyscy za jednego, fraszka. Wydanie drugie. Kijów nakładem B. Koreywy 1883.
Laszka, poemat. Kijów u tegoż 1883.
Zaklęta łza i Nowe Dziady, Kijów u tegoż 1885.
Las, poemat. Kijów u tegoż 1885.

Szkic krytyczny

przez Fr. RAWITĘ.

I.

Nieraz publicznie i głośno narzekano na to, że ostatnie ćwierć wieku nie sprzyja rozwojowi poezji, że jest to czas materjalizmu, w którym pogrążone narody i społeczność nie mogą wyzwolić skrępowanego ducha poezji. Z takiemi narzekaniami najczęściej można było spotkać się u nas. Smutną byłoby to prawdą, gdyby nią było, bo w sprawie ukształcenia pewnego narodu nie jest i nie może być obojętnie widziana właściwa temu narodowi albo uprawiana u niego poezja. Poezja każdego narodu jest najsubtelniejszym płodem jego umysłowości, śladem wyobrażeń jego o pięknie. Nietylko więc ciekawą jest rzeczą śledzenie uważne zjawisk tej sztuki, która tak ściśle jednoczy się z najtajemniejszemi i najgłębszemi uczuciami danego narodu, która zdradza go poniewolnie jak okrzyk wydobyty z jego serca, która poświadcza w jakiej natury moralnych widokach, nadziejach i tęsknotach upływa *duchowe życie*, ale nawet taką, która zasługuje na pilną uwagę, bo skoro poezja jest najpiękniejszym, a żywotnym członkiem ogólnej literatury, którą Brodziński nazwał tak pięknie: żeńskiem macierzyńskiem nauczycielstwem narodu, *to sposób w jaki się rozwija, kierunek ku któremu się skłania i przychyla, nie mogą być bez przeważnych prawie nieodpartych wpływów na jego ducha a nawet losy.* (M. Grabowski, Lit. i kr. T. I.)

Takie rzeczywiście ma znaczenie poezja w duchowem życiu narodów, a jeśli tak jest, to trzeba przyznać, że owe narzekanie na materjalizm i morderstwo poezji są nie słuszne — bo w takim razie poezja — to wyśpiewane myśli narodu, jego bole, rany, nadzieje. Rzecz jasna, że w sporze tym chodzi głównie o określenie zasadniczego pojęcia, mianowicie: co jest poezja? Trzeba przyznać, że gdzie idzie o określenie abstrakcyjnego pojęcia, tam jest równocześnie pole do wszelkich teorji. „Poezja jest obrazowaniem pomysłu“ — mówi M. Grabowski, jeden

z naszych najlepszych, estetycznie ukształconych krytyków. Na to pojęcie można się zupełnie prawie godzić, dawszy mu tylko nieco szersze, dopełniające znaczenie: poezja jest obrazowaniem pomysłu oświeconego ideą. Odrazu cały tłum rymującej rzeszy rozpadnie się na dwa obozy: poetów i poezji, dyletantów i pseudo poezji.

Prawdziwa poezja i malarstwo -- to dwie rodzone siostry; jedne i drugie przedstawiają obraz, poezja — malowany słowami, malarstwo — farbami. Siła i umiejętność użycia farb, światło-cieniu, expresja myśli, sposób uplastycznienia jej, są to pewne indywidualne cechy autora, które dadzą się wprawdzie naśladować, ale będą zawsze naśladowaniem tylko; gdzie brak w obrazie cech samodzielnej myśli i siły, tam — nie sztuka, ale bazgranie, dyletantyzm. To samo dzieje się z poezją: poezja prawdziwa jest wyrazem siły, uczucia, fantazji, prawdy, myśli — jednem słowem indywidualizmem autora, gdzie indywidualizm w jaki bądź sposób zaznaczony nie jest, tam nie ma poezji, ale pseudo-poezja czyli sztuka fałszywego naśladowania. Tandetę w malarstwie wybaczyć można: ustawienie obrazu, oświetlenie jego, perspektywa, sztuczne zresztą sposoby mogą zakryć wady obrazu, które oceniamy tylko za pomocą oka, uprzystępniającego nam materjał do analizy artystycznej; z poezją dzieje się inaczej: słowa luźne nie zastąpią ani myśli ani farb, beztreściwość obrazu staje się wyraźnie widzialną i wstrętną. Otóż na taką tandetę rymowaną, która przyodziawszy się w szatę poezji, kuleje na wysokich koturnach słów i tak przyodziana odświętnie, przechadza się po szpaltach naszego dziennikarstwa, słusznie bardzo powstaje krytyka. Nie żądamy w poezji prawdy matematycznej, ale *życiowej*, żądamy obrazu, stworzonego myślą i fantazją poety, ale nie *chorobliwie fantastycznego pomysłu* bez związku z *realną prawdą* i pozbawionego cech myślenia. Oto próbka nowożytnego pseudo-poetycznego wyrobu, wzięta, pod rękę; autor (autorka raczej) pragnie przedstawić obraz narodzin Nowego roku i takiem nas darzy arcydziełem:

> Śród *pierwiosnków*, na *posłaniu zorzy*
> Na liljowym rannych niebios tle
> Spi dziecina, nad nią Anioł boży,
> *Ranna gwiazda* w *przedświtowej mgle.*

Staram się uzmysłowić sobie ten obraz i oto widzę: na posłaniu zorzy (czy jednej?) śród pierwiosnków, które w zimie zostały przeniesione na zorzę, śpi dziecina, nad nią Anioł boży... W końcu nie wiem do czego przyczepioną jest jeszcze: ranna gwiazda w przedświtowej mgle; mniejsza już o to że *zorza* i *ranna gwiazda* w symbolice ludu są pojęcia identyczne, ale co na tej zorzy robi Nowy rok? Tanie fabrykaty,

wyrobione na ustaloną modłę mają przecie pretensję do poezji, chociaż niema w nich ani myśli, ani prawdy, ani sensu, ani fantazji, a jest natomiast zupełnie chorobliwa fantastyczność. Nie na ideały porywa się krytyka, nie poezję chce odzierać z jej szat różnobarwnych, ale ostrzega przed powodzią dyletantyzmu. Nie poezja słów jest nam potrzebną, ale poezja rzeczy; naród nie potrzebuje refleksji na tematy o trelach słowików, o migotaniu gwiazd, o szumie drzew, o szmerach ruczaju, — jemu potrzebna pieśń „co skry w zmartwiałej krwi zażega i hasłem jest, pod którem wrą miljony; pieśń co w przyszłość wkracza śmiało i ziarnem prawd zasiewa niwę dziką, ta pieśń co duszę ma i ciało i wielkich słów ludzkości jest muzyką“ (Konopnicka).

Z pomiędzy ciżby dyletantów pseudo-poezji, która się tłoczy w przedsionkach dziennikarstwa i w imię ideału woła o miejsce dla siebie, coraz wybitniej wysuwa się postać od stepów ukraińskich, od prastarego Kijowa i zwolna zdobywa sobie miejsce w literaturze dni naszych. Mamy tu na myśli p. Włodzimierza Wysockiego. Oprócz tego cośmy wyliczyli na karcie tytułowej nieliczna wiązanka poezji ulotnych rozsianych po równie nielicznych pismach w Warszawie, Petersburgu i Kijowie — oto cały dorobek duchowy p. W. Wysockiego. Nie wiele to zapewne, ale dosyć, ażeby osądzić treść, ducha oraz charakter jego poezji. P. Wysocki jest ukraińcem, jest poetą — to się zaprzeczyć nie da — ale nie jest kontynuatorem tak zwanej szkoły ukraińskiej. Nazwa ta, czysto przypadkowa, bo osnuta na jednoczesnem prawie istnieniu kilku poetów-ukraińców i sporej liczby hałaśliwych, ale niezdarnych i bezbarwnych naśladowców, którzy jak wsiedli na Bohdana tak też jechali, pokrzykując: hop, hop, cup, cup (A. Mickiewicz, Korespondencja T. I.) Nie o nazwę też nam chodzi bynajmniej. O urojony separatyzm w poezji objęty szkołą ukraińską, nie można posądzić p. W.; nie wymanjerowana i wygładzona przez Bohdana Zaleskiego kozaczyzna, nie zatargi szlacheckie jak u Malczewskiego, nie morderstwa Koliszczyzny jak u Sew. Goszczyńskiego, nie fałszywa narodowa nuta jak u Padury, nie junakierja beztreściowa jak u Gosławskiego, stanowią tło poezji p. Wysockiego. W nim drgają wszystkie tętna bieżącego życia narodowego, on nie zachwyca się tylko zielonością Ukrainy, nie marzy na temata przeszłe, a nawet wtenczas kiedy z kozackiej przeszłości bierze wątek do swego poematu, umie na tych strunach już dawno nie granych, wydobyć myśli blizkie nam i drogie.

Otoż z treścią i charakterem poezji p. Wysockiego chcemy zapoznać czylelników.

II.

„Wszyscy za jednego“ — jakkolwiek podobało się autorowi nazwać fraszką — jest w istocie utworem satyryczno-obyczajowym. Każdy wiek, a może nawet każde pokolenie zdobywa się — jak i w tym wypadku — na satyrę obyczajową lub społeczną, która odźwierciadla wybitniejsze zboczenia w życiu towarzyskiem lub społecznem. Skoro były do tego powody wyśmiewał Krasicki w satyrach szlachtę, a w Monachomachji całą czczość klasztornego życia, tak samo śmiał się Węgierski w Organach i innych do śmiechu pobudzał. Dziś byłoby niewdzięcznem polem dla poety opiewać taką wojnę, w której

Jan ma Wiankiem różanym nos srodze podbity,
Tego zranił Do nieba gościniec ukryty (Organy),

ale obfitość wad narodowych, położenie nasze w obec rozmaitych państw wyjątkowe, potrzeba i konieczność zachowania etnograficznej i społecznej samoistności dodają odwagi piszącym do wskazywania tych wad i chłostania ich. Otóż „Wszyscy za jednego“ była już gotową, że się tak wyrażę, satyrą, tak samo jak Organy, trzeba ją było ująć tylko w pewną formą, czyli, jak mówi Węgierski „klawisze i dudy sporządzić“.

Osnowa bardzo prosta: dziedzic Obiboków p. Wincenty Wątroba, który już poprzednio pożyczył u sąsiada Niemca — kolonisty niby na gospodarstwo, ale stracił, posyła faktora Elka do Niemca znowu pożyczyć pieniędzy, bo... potrzebuje bal wydać sąsiedztwu i poradzić się jak wyleźć ze szponów Pfeifera. Elko służy wiernie — swemu interesowi, i coś tam trochę pożycza, dość że bal ma miejsce. Śród wiwatów, które wnosi p. Rura, ex-marszałek powiatu, słychać i głosy narzekań szlachty, że źle się dzieje, ale najśmielej występuje p. Wacław Opolski, młody i rządny gospodarz, zalecający się do Wątrobianki. Śród licznych protestacji, jeden z mowców Ryczywół, radzi wspólnemi siłami ratować Wątrobę.

Tak! wszyscy za jednego i za wszystkich jeden!
Rzekł Ryczywół — niech wiedzą: niech wie Berlin, Wiedeń...
Że nie łatwo nas połknąć, pierwiej się zaksztuszą...

Po sutym obiedzie przysięgają najsolenniej wszyscy, aby ani morga jednego Niemcowi nie oddać.

Słowo się rzekło. Nazajutrz p. Marszałek w towarzystwie innych jedzie do Pfeifera układać się co do spłaty długu Wątroby, który zamierzają między siebie rozdzielić. Zostają w karczmie, a Elka posyłają do Pfeifera. Zimno i głód dokucza, następuje refeksja i reminiscecnje o mi-

nionym balu: krytykuje się i kuchnia i wino, a tym czasem Elka jak nie ma, tak nie ma; głód dokucza coraz więcej, zbliża się pora obiadowa, czuje się tęsknotę do kieliszka... Wraca nareszcie poseł z niewesołą nowiną: Pfeifer prolonguje weksle, ale na miesiąc tylko, potem pragnie, aby nowe weksle wystawić na podwójną kwotę. Szlachcie się to nie podoba; następuje cofanie się.

Jest kres wszelkim ofiarom, a kto go przekracza
Niebaczny — ten niechybnie sam się w przepaść stacza.

Ale śród tych trosk jest i pociecha: Pfeifer proponuje kupno Obijboków i ofiaruje zapłacić drożej nad cenę, za każdy morg po pięć rubli. To świetny interes! wołają wszyscy.

Dla Wątroby to łaska niebios oczywista —
..... kpem będzie jeśli nie skorzysta
Z dobrych chęci Pfeifera...

Odzywa się jednak jakiś głos wewnętrzny — coś oponuje — coś walczy w głębi, tworzy się jakiś chaos, czegoś chce każdy i czegoś się wstydzi... Kiedy tak zgromadzona szlachta walczy ze sobą, Elko dodaje, że Pfeifer gotów jest u każdego kupić majątek, a

Tego z panów, który na sprzedaż się zgłosi
Pan Pfeifer najuprzejmiej na śniadanie prosi.
I razem dla zawarcia stosownej umowy...

Tego już było dosyć; Elko — zwany Bismarkiem prowincjonalnym — zwyciężył,

..... bo wiedział, że szlacheckie serce nie z kamieni,
Że nas najłatwiej zwalczyć — nadzieją pieczeni.

Wszyscy sprzedają majątek... bo jakże nie sprzedać, cena była dobra i stało się, że Rura resztki przejadł, Cholewa skończył w szpitalu, Ryczywół na lichej służbie przy koleji, tylko majątek Wątroby uratował Opolski, ożeniwszy się z Wątrobianką.

Oto prosta fabuła powyższej satyry. Nie jest to paszkwil bynajmniej, jakby się może komu podobało nazwać, jest to spokojna, pełna werwy, życia i akcji satyra, oparta na znajomości naszych wad i obyczajów narodowych, opowiedziana płynnie i potoczyście. Obok tej gromadki, która dożywa resztek swego społecznego żywota, coś czuje, coś myśli, ale już nie ma siły czynu, chociaż ciągle hałasuje po sejmikowemu, postawił autor postać bardziej nowożytną w osobie Wacława Opolskiego, który ma śmiałość cisnąć prawdę w oczy.

Sami winni jesteśmy! nic nam nie pomogą
Żadne żale i skargi... Niemcy nas przemogą,
Wywłaszczą nas, przygnębią, siędą nam na karku,
Jesli się nie obudzim z gnuśności letargu,
Jeśli nasze potrzeby, obowiązki, cele
Będziem sobie zasypiać jak gruszki w popiele!
Cóż dziwnego, że Niemiec ręką swoją sięga
Po to co z wieków nasze! Polak — niedołęga
Czy umie tak jak Niemiec roztropnie a skrzętnie
Prowadzić swoje sprawy, żyć skromnie, oszczędnie?
Czy idzie za postępem? Czy naukę śledzi?
Czy długo myśl poważna w polskiej głowie siedzi?

Nie jest Opolski człowiekiem słów, frazeologiem tylko, ale człowiekiem czynu; żyje tak jak mówi, nie wierzy, że upadamy „z bożej woli", ale z własnego niedołęstwa i stwierdza tę prawdę powiększaniem majątku, kiedy inni tracą. Jednem słowem jest to dodatni element w humorystyczno-satyrycznej opowieści p. Wysockiego.*) Pod względem ry-

*) Zdanie szanownego autora, że jednostka której czyny polegają na zabiegach o własny dobrobyt materjalny jest w omawianej opowieści typem dodatnim, nie wymagałoby wcale komentarzy, gdyby cenne poezje p. Wysockiego nie były odbiciem upowszechnionego u nas pojmowania „pracy organicznej" jako drogi, mogącej wyprowadzić społeczeństwo z położenia, w jakiem się ono znajduje. Mamy więc tu do czynienia z ideą programową i dlatego jej przedstawicieli winnibyśmy mierzyć nie miarą istot pędzących życie wegetacyjne i bezmyślnie trwoniących premję za urodzenie, ale miarą ludzi, których żelazne warunki społecznego bytu zdają się stwarzać na swoją własną zagładę. Gdyby publicystyka i literatura piękna — idealizujące przedstawicieli pracy organicznej — sięgnęły głębiej niż do porównań z typem skazanym na wymarcie, dojrzałyby, jak z pod obsłonek frazeologji na temat patrjotyzmu wychyla się zjawisko natury czysto ekonomicznej, nader powszednie w społeczeństwach, których stosunki gospodarcze układają się na modłę kapitalistyczną. Samo zjawisko jest historyczną koniecznością, ale opieranie nadziei odrodzenia na pracy której dewizą jest robienie majątku, a dźwignią najskuteczniejszą — zasklepienie się w ciasnych ramkach osobistego interesu, jest tylko rażącem zboczeniem myśli politycznej pod wpływem nowo kształtujących się warunków ekonomicznych.

Skoro działalność dotycząca „gromadzenia", z natury swej nie zniża poziomu nędzy, nie kładzie tamy moralnemu i fizycznemu wyradzaniu się ludu, nie usuwa polityką kompromisu z istniejącym stanem rzeczy anormalnych stosunków politycznych, to oparta na niej idea programowa, już za same uroszczenia i niemoc w rozwiązaniu zawiłych zagadnień naszego bytu potępioną być winna. W poezjach zaś p. Wysockiego zamiast słów potępienia — spotykamy uznanie. To też słuszny zarzut robi mu jeden z najcelniejszych naszych krytyków, którego parę uwag, dosadnie oddających myśl naszą, pozwalamy sobie przytoczyć w tem miejscu.

„Historyczny błąd naszej przeszłości — ciemięztwo ludu, otrzyma, według poety, rozgrzeszenie nie wcześniej aż szlachta zacznie pracować. Jaką ma być ta praca? Sprawcom naszych nieszczęść narodowych, ciemiężcom chłopa,

sunku, „Wszyscy za jednego“ nie jest bynajmniej rzeczą skończoną, charaktery — a raczej usterki i wady osób działających — są naszkicowane zaledwie kilku śmiałymi i dosadnymi rzutami.

Nieraz, wczytawszy się, zdaje się ja gdyby w satyrycznem opowiadaniu Wysockiego brzmiała znana dobrze nuta z „Rady“ Pana Tadeusza, jak gdyby te same osoby, przynajmniej niektóre z nich, działały w odmiennych nieco stosunkach. Jest to wreszcie złudzeniem tylko. Nieraz zdarza się posłyszeć kilka oderwanych dźwięków, które Bóg wie skąd dolecą do ucha, zdaje się, że te dzwięki coś przypomniały dobrze i oddawna znanego, słuchamy dalej: — inna wyraźnie melodja. Całkiem identyczne wrażenie wywiera czytanie fraszki Wysockiego. Znać tu wpływ raczej dobrej szkoły jak naśladownictwo; naśladowcy - są to ludzie o bardzo bladym indywidualizmie, dla tego też słowom ich brak siły, myślom — śmiałości i prawdy. Tego o p. Wysockim powiedzieć nie można.

Spostrzegamy tu jeszcze zaznaczony przymiot, który wszędzie i zawsze dostrzeżemy w utworach p. Wysockiego — jest to satyryczność. Nie ma ona barwy ironji i goryczy Byrona, nie grzeszy pesymizmem i dysonansami Heinego, wypływa jednak z głębi myśli i duszy, jest smutkiem, zaprawnym goryczą swojską, wynikającą ze smutnego położenia naszej społeczności, która z grzechów własnych nie zawsze sobie sprawę zdać umie.

III.

Poemat „Laszka“ zakrojony jest na większą skalę a oparty na tle wojen polskich z tatarstwem, na tle niepewnem pod względem histo-

---

każe p. Wysocki za karę... zbierać pieniądze. Nie mamy prawa przypuszczać, iż owe „trudy w czoła pocie“ nie będą czystem sobkostwem kasty; ani jednem słówkiem poeta nie skierował ich ku podniesieniu moralnego, umysłowego lub ekonomicznego dobrobytu wydziedziczonych. Jest on o wiele skromniejszym w wymaganiach. Przez usta guślarza (Nowe Dziady) mówi dość wyraźnie o co mu idzie; karci nasze ziemiaństwo głównie za to, że hula sobie w Baden-Badach,

ani myślą o przychodzie,
Aby był z rozchodem w zgodzie.

przyczem ostatnie wyrazy podkreśla. Ponieważ pogodzenie rozchodu z przychodem ma sprawić to, czego nie dokazały „piramidy egipskie i San Domingo“, więc łatwiej już nam będzie zgłębić socjologię autora. Jest to po prostu owa, coraz częściej dyskredytowana dzisiaj praca organiczna, która zastąpienie trzypolówki płodozmianem podniosła do godności programu politycznego...

(Patrz Wędrowiec z r. 1884. Listek do wieńca. Przez Marjana Bohusza.)

(Przyp. Red.)

rycznym i odnoszącem się prawdopodobnie do epoki, tak ulubionej przez Bohdana Zaleskiego, XVI. i połowy XVII. w., kiedy nie rozżarły się jeszcze namiętności między dwoma szczepami. Poemat nie jest pozbawiony tendencyjnego zabarwienia, oświeconego myślą potrzeby zgody Rusi z Polakami. Zapewne, autorom nie można narzucać tematów, ani wskazywać dróg, któremi kroczyć ma ich natchnienie, należy jednak żałować, że temat „Laszki“ nadto już spowszedniały, tło aż do znużenia wyzyskiwane i to właśnie poematowi, nie pozbawionemu skądinąd pierwszorzędnych piękności, nadaje nieco steoretypową cechę.

Fabuła rozpoczyna się napadem Tatarów. Młody, zakochany rycerz — Zdzisław, narzeczony Tereni, jedzie na czele orszaku spotkać się z pohańcami i w tym celu łączy się z oddziałem kozackim, dowodzonym przez Atamana, Tymka Czałego, któremu towarzyszą dwaj setnicy: Ostap Tetera i Kuźma Syłucha, oraz pieśniarz Łahoda, najniewłaściwiej nazwany przez autora „lirnikiem“, bo jak wiemy z historji, a głównie z aktów o Hajdamaszczyźnie, wydanych przez prof. Antonowicza w Kijowie, orszakom kozackim towarzyszyli nie „lirnicy“ ale „kobzarze“, „bandurzyści“ co stanowi ogromną różnicę. Tatarzy zdołali ominąć straże Zdzisława, wtargnęli do kraju, wzięli w jasyr Terenię, — z powrotem jednak napadnięci zostali przez kozaków pod wodzą Czałego, który wybawiwszy Terenię, trzyma ją potajemnie w obozie, zakochany w dziewczynie. Spotkanie narzeczonych było nieuniknione, powstaje spór między Czałym a Zdzisławem, rozsądzony przez kobzarza Łahodę: kto zetnie lepiej głowę Tatarzynowi, temu ma dostać się branka. Wygranę przysądza Łahoda Zdzisławowi, Czały podżegany przez setników chce jeszcze walczyć na miecze, kiedy Terenia decyduje się rozstrzygnąć walkę: rzuca się w szeregi Tatarów i woła: kto mnie tam dostanie do tego należeć będę! Tym sposobem pociąga do boju i Kozaków i Lachów, którzy zwyciężają, ale sama ginie, raniona strzałą tatarską.

Obok miejsc, jak powiedzieliśmy, pierwszorzędnej prawie piękności, jak opis wiosny (pieśń 1.) całość grzeszy powszedniością tematu i brakiem artystycznej budowy. Gorący i namiętny charakter Zdzisława nie jest ściśle logiczny. Kiedy wyruszył na bój z Tatarstwem i z obozu tęskni do ukochanej Tereni, sam siebie zapytuje:

Czemuż nie lecisz tam, gdzie serce rwie się?
Co cię na kresach wstrzymuje? Powinność.

. . . .

Czemuś na kresach, gdy luba daleka
Twojej obrony, twego miecza czeka?
Któż nad kochankę do większych się przyzna
Praw do twej ręki i życia? Ojczyzna.

A jednak zapomina o powinności i ojczyźnie, bo wobec wojska tatarskiego, zamiast rzucić się na szeregi nieprzyjacielskie jak Wacław w Marji Malczewskiego, on porywa szablę do boju z Atamanem o Terenię i trzeba dopiero stanowczości i rezygnacji kochanki, aby mu właśnie powinność i ojczyznę przypomnieć. Chybiona całość i układ, akcja skupiona na sprzeczce osobistej między Rotmistrzem a Atamanem widoczne są właśnie w nienaturalności tego boju, jaki ma odbyć się między zapaśnikami: z jednej strony stoją Kozacy i Polacy, z drugiej — Tatarzy; przypuśćmy nawet, że kozackie i lackie orszaki wstrzymałyby się od boju, wiedząc o co chodzi, ale Tatarzy? Dla czego oni zachowują się biernie, jakby oczekiwali tylko na natarcie nieprzyjaciół?

Wadliwej konstrukcji artystycznej nie mogą już poprawić wielkiej piękności pojedyńcze ustępy i obrazy, choć czuć w tych malowidłach prawdę i życie, czuć głębię prawdziwego uczucia. Oto jeden z takich ustępów:

Kraju rodzinny, jedyny na świecie!
Jakżeś mi piękny, kochany i miły!
Matko ty moja! czyż ja — Twoje dziecię,
Które pięknoty twoje wypieściły,
Które twa bujna wykarmiła gleba;
Ja, com ci winien duszy mej osnowę,
Winien ci czucia, myśli.., mowę —
Czyż, mając ciebie, mogę żądać nieba?
Nie pragnę nieba, jeśli tam na niebie,
Ojczyzno moja, mieć nie będę ciebie!
Nie pragnę nieba!... Tam czyż dasz mi Boże
Taką krainę, jak to moja macierz,
Moja kolebka, gdziem dnia ujrzał zorzę,
Moja świątynia — pieśń — marzenie — pacierz!...
Tam czyż obaczę ten mój kraj kochany,
Gdzie zbóż niezmierne kołyszą się łany,
Gdzie srebrne żyto, złocista pszenica,
Wąsaty jęczmień, gryka srebrnolica...
. . . .
Czy jest tam takie piękne słońce w raju,
Jak to słoneczko co świeci w mym kraju?
I takie niebo jak moje rodzinne,
Jasne, pogodne niebo turkusowe
I te obłoki na niem coraz inne...
. . . .

P. Wysocki zna tło ludowej ukraińskiej poezji z całem bogactwem fantazji, tajemniczości, siły; i jakkolwiek nie wiele, w miarę potrzeby tylko, umie czerpać z tego czystego zdroju, z którego nieraz — zawsze prawie — czerpali nadto obficie poeci polscy szkoły ukraińskiej. Jeden

z najwybitniejszych między nimi, Olizarowski, któremu poczesne miejsce w tej szkole naznaczył M. Grabowski, zużytkował to tło w poemacie „Zawerucha“, na którym nie poznało się wielu krytyków, nie obznajomionych z literaturą i poezją ludową ukraińską. Znamieniem każdej ludowej poezji, a najwybitniej ukraińskiej jest personifikacja przedmiotów nieżywotnych. U Olizarowskiego stoły, ławki, obrazy przemawiają, p. Wysocki rozpoczyna również poemat swój od rozmowy Dniepru z wiatrem stepowym. Ten sam charakter, jak powiedzieliśmy, ma poezja ludowa ukraińska.

Oj u łuzi bereza stojała,
A na berezi zozula kowała;
Pytałasia zozula berezy:
— Oj, berezońko, czoho ty ne zełena? —

— Oj jak ja maju zełena buty
Koły pidomnoju Tatary stojały...
Kopytamy zemliu grasowały...

Oprócz Zdzisława, który, jak powiedzieliśmy, nie jest konsekwentnym, daje się unosić porywom osobistym i lekceważy obowiązki, występuje bezgranicznie namiętny, zaślepiony miłością dla branki typ Atamana, Tymka Czałego, któremu również jak i Zdzisławowi brakuje charakteru objawionego w czynach wyrazistych: obaj walczą wprawdzie, ale po za ramami powieści, a na scenie występują jako zakochani przeciwnicy. Najlepszą może postacią, chociaż nie najwierniejszą etnograficznie i historycznie, jest „lirnik“ Łahoda, któremu autor kazał być rozjemcą sporu.

Jest to starzec, który
... ni chaty nie miał, ni rodziny.
Latem zwykł sypiać w stepie, gdzie mu było
Dachem gwiaździste niebo Ukrainy,
A na posłanie kwiecie się ścieliło;
A zimą kiedy step okryły śniegi,
Wpraszał się lirnik do chat na noclegi...

To nie Halban z Konrada Wallenroda, chociaż zdaje się nieraz, że w jego płaszcz odziany; on nie budzi zemsty w niczyjej duszy, to śpiewak spokoju. On Kozakom i Lachom śpiewa pieśń nadzieji.

Pókiście dziatwą — was dzielą te tonie, (Bohu)
Ale, wyrósłszy śród trudów
Przez Buh podacie kiedyś sobie dłonie...

IV.

W „Zaklętej łzie“ p. Wysocki upersonifikował losy Polski i związał je z dolą dwóch najwybitniejszych warstw narodu: ludu i szlachty.

Kropla wody czy rosy — szczęśliwa — spadała na łąki, na sady, na niwy, poiła kwiaty i kłosy; poczem przeniesiona przez Karpaty, zawisła na winnem gronie, a stęskniona i przekształcona w wino — w beczce tokaju wróciła do stron rodzinnych. Na uczcie szlacheckiej wypitą została przez butnego pana, który uniesiony pewnego razu gniewem, plunął w twarz chłopa... Kropla ta została przeklętą — bo

Przeklęty kto w siłę zamożny i prawo
Słabych maluczkich znieważa!

I padł na nią wyrok:

Nie spadniesz ty w rzeki ni w srebrne ruczaje,
Co poją trawy i kwiaty,
Łzą będziesz przeklętą, co ulgi nie daje
...póki łzą, tyś zawsze grzesznica,
Nie masz do łaski powrotu,
Aż z trudów i pracy na czole szlachcica
Wystąpisz kropelką potu.

Nastąpiły krwawe dni dla narodu, wiele łez wylano za krajem, rodziną, przeszłością — ale nie były to łzy odkupienia; bo były wylane we krwi lub zgryzocie, ale nie wystąpiły na czole śród pracy! Z puszcz Sybirskich łza przywędrowała znowu do kraju.

Ach, kiedyż się skończy pokuta!

Myśl powyższa została wypowiedziana przez poetę w szeregu małych, ale pełnych siły obrazków, na które składało się nasze życie społeczne. Jakże nas dzisiaj bolą takie obrazy, jak staramy się zakryć przed sobą własne winy i błędy naszych pradziadów! O wyrzucanych przez usta Skargi, którego śmiało nazwać można prorokiem naszym, zapomnieliśmy lub przebaczyli ich przypominanie wielkiemu kaznodziei, ale nie możemy przebaczyć poezji, historji, literaturze, że śmie je nam pokazywać. Doszukujemy się wszędzie oszczerstwa, ale nie prawdy. „My światło złe ludziom wiernym świecim — mówił Skarga, wiele grzechów jawnych jest pośród nas, a nikt ich nie karze, na co nasze sobkostwo wynidzie, kiedy ojczyzna upadnie? „Okrucieństwa wielkie na ojczyznę, na bracią, na ubogie poddane“ doprowadziło nas do upadku, cóż więc dziwnego, że rany narodowe dotychczas bolą?

Cóż dziwnego, że idąc za ogólnem naszem położeniem społecznem i politycznem nie tylko historja, ale i poezja wkracza w dziedzinę myśli i tam szuka farb i cienia do swoich obrazów? Podróż przez Dantejskie kręgi naszego życia teraźniejszego czy przeszłego nie jest rozkoszą; czuje to dobrze p. Wysocki, kiedy na czele „Nowych dziadów“ kładzie wiersz taki:

Gdy odchylam trumny wieko
I oglądam nasze dzieje —
Chcę nie płakać, więc się śmieję,
Ja się śmieję, a łzy cieką...

„N o w e d z i a d y“ są utworem naśladowanym co do formy, ale nie co do treści, nie co do myśli i ducha.

I tu, jak w „Dziadach Mickiewicza“ — guślarz za pomocą guseł i czarów wywołuje umarłych „wielmożnych i dostatnich“ niegdyś dziedziców murów, w których się scena odbywa. Przesuwają się przed oczami widza postacie przeszłości i teraźniejszości butne, zuchwałe, w kłótni ze sobą, która jest pociechą szatanów; darmo trzeźwi ludzie wzywają ich do porządku i zgody... O, te walki i boje jakże nam dobrze są znane! Pomiędzy duchami przeszłości przesuwa się postać dzisiejsza: nieznajomy przytomny, ale upadający pod ciężarem własnych myśli, nie widzi nigdzie pociechy, wątpi...

Idee! Ideały! o, błędne pochodnie!
Któreście przeświecały jak gwiazdy przewodnie!
Drogoskazy ludzkości! nasze ideały!
Fatamorgany złudne! gdzieście sie podziały?
Świeciłyście nam wszystkie barwami nadziei,
Łudziłyście, aż wszystkie zgasły po kolei!
I oto mrok nastąpił — mrok niepewny, szary...
Źle było, ale czyż dziś lepiej?
Garstka silnych tak samo tłum słabych uciska,
Tylko aktorom inne nadano nazwiska:
Pariasów zwą l u d e m, przymus — zowią p r a c ą,
Przywilej — k a p i t a ł e m, niewolnictwo — p ł a c ą
I dalej grają sztukę...

. . . .

Napróżno szukać prawdy! gdzież ona ukryta?
Nie zaświta jej słońce nad ziemią!...
Śród takich wykrzyków boleści słychać odpowiedź: z a ś w i t a!

Utwór powyższy wygląda jakby był cząstką jakiejś całości, z tego powodu akcja nie ma jasności należytej, a monolog nieznajomego jest naśladowaniem monologu Konrada, chociaż nie ma tej potęgi i siły co u Mickiewicza. Z tego też wcale nie można robić zarzutu p. W.: polska literatura ma tylko jednego Mickiewicza. Mimo to wszystko spostrzedz można wyraźnie, iż autor w tym poemaciku dramatycznym przedstawił genezę naszych dziejów i życia — nie z najlepszej strony.

Poemacik „L a s“, ostatni utwór p. W. pisany w formie sonetowej, jest może najlepszym z tego wszystkiego, co autor dotychczas napisał. Niezmiernie prosta treść tego poemaciku, artystyczne ramy formy, w które treść ta zamknięta, prostota i wdzięk opowiadania, czynią z niego pię-

kną sielankę, nie sielankę południa na wzór może „Za przykładem bogów“ Siemiradzkiego, ale naszą, polską sielankę, na dnie której autor umieścił gorycz, jaką wdychał może z aromatycznem powietrzem lasów.

Panicz słuchał koncertu ptaków leśnych, aż —
Oto po migotliwych, złotych haftach słońca
Co się przez drzew wierzchołki na drogę przeciska,
Biegnie postać dziewczęcia w blaskach się mieniąca,
A lekka i powiewna jak senne zjawiska.
W wyszywanej koszuli, w zwojach barwnych wstążek
Stanęła na swych bosych nóżkach jak posążek,
Patrząc na mnie zdziwiona i mnąc swój fartuszek.

Panicz zamieszkał u d i d a, strażnika lasu, którego wnuczką była Ołenka, chodził ze starym na polowanie, widywał się z Ołenką i pokochał to dziecko natury — trwożliwe i czyste. Pokochali się... Ale Ołenka posmutniała, płacze często. — „Czego płaczesz?“ — pyta ją.

Płaczę... bo twoją chciałabym być żoną...
Żoną? Cóż ludzie powiedzą!
Ty nie dla mnie Ołenko! jam ciebie nie godzien!
Ciebie, proste, natury nie spaczone dziecię.
Mam prawo uwieść, siłą posiąść jako zbrodzień
Coby mi przyklaśnięto nawet w moim świecie;
Lecz wara zwać cię żoną! boś nie naszej sfery;
Bo nie masz cnót i wdzięków salonów hetery,
Nie masz przymiotów sroki, papugi rozumu,
Nie masz zębów fałszywych, nie tynkujesz skóry,
Masz własne piersi, włosy, nie nosisz turniury,
Słowem: jesteś prostaczką, jesteś dzieckiem tłumu...

Tymczasem właściciel sprzedał las żydom. Leśnik, który całe życie przepędził w tym lesie zżył się z nim, kochał go i nie mógł przeboleć ostatniej boleści. Kiedy na okół walono dęby i jawory, starzec siedział w chacie nachmurzony, lecz skoro poczęto ścinać drzewo przed chatą, porwał strzelbę, zmierzył i zabił żyda, który las nabył. W tej samej chwili ścięty dąb począł się walić, panicz ledwie zdołał pochwycić za rękę Ołenę, kiedy dąb runął i przywalił starca. Z punktu etycznego ta ostatnia scena zemsty na niewinnym nie jest piękną może i sprawiedliwą, ale jest zrozumiałą z punktu psychologicznego, bo w istocie cóż jest naszą ojczyzną? Ziemia, powietrze, lasy, ludzie śród tej natury żyjący... Kto tę ziemię zabiera, lasy niszczy i marnotrawi zamiast korzystać rozumnie z darów natury, ten marnotrawi cząstkę ojczyzny. Obaj są winni: i ten który dobrowolnie rodzinne progi opuszcza i ten, który do cudzego domu się wdziera.

Poemat zakończył się tak, jak się kończą dramata życiowe: panicz wrócił do domu, Olenka gdzieś znikła w morzu codziennej pracy, a tam gdzie las szumiał

Tylko gad w resztkach liści pełzając szeleści,
I wiatr, wyjąc potrząsa starą chaty strzechą...
Patrzę — i z oczu moich płyną łzy boleści.
A gdzieście wy łupiezcy bez serca, bez głowy,
Którzyście zmarnowali ten nasz skarb krajowy?
Po latach może kilku, w odzieniu żebraczem
Wrócicie tu, strwoniwszy za granicą krocie...

Autor zakańcza poemat zgrzytem oburzenia.

I ten poemat, jak wszystko to, co wyszło z pod pióra p. W. jest tendencyjnym. Czy autora należy obwiniać o to? Mojem zdaniem — nie. Narody wolne, silne, rozwijające się — snadniej mogą nad gmachem poezji wywieszać godło: sztuka dla sztuki; u nas takiej poezji prawie nigdy nie było i być nie mogło — myślę tu o rzeczywistej poezji: naród upominający się o swoje prawa polityczne, przekształcający się społecznie do tej pracy zaprzęga wszystkie siły robocze; poezja zrodzona z ducha narodu nie może mu służyć ani za zabawkę, ani za formę piękna, ona musi być piastunką i nauczycielką, musi mieścić w sobie nie tylko piękno, ale i myśl, przyświecającą narodowi w jego zapasach. Ona niepowinna nas tylko bawić, lub tylko zachwycać nasze zmysły, ale kształcić nas i prowadzić. Takie jest jej zadanie obecne. Zadania tego nie można narzucać ani poetom ani poezji; życie narodu i warunki tego życia podają wątek do obrazów ludziom głębszej myśli, większego serca a obdarzonych skarbem poezji.

Charakter poezji p. Wysockiego, mojem zdaniem, jest nawskróś nowożytny, idzie ręka w rękę z czasem i znamiona tego czasu nosi wybitnie na sobie. Ma on głębokie pojęcie natury, ale nie grzeszy sentymentalizmem; czuje i odtwarza poezję, ale nie wpada w ckliwość, nie zachwyca się na zimno śpiewem słowika, migotaniem gwiazd itp. komunałami pseudo-poezji; jest realistą, odtwarza prawdę codzienną, ale nigdy prawie nie posuwa się do sensualimu lub naturalizmu Zoli. Wszędzie widać poglądy trzeźwe, tendencje szlachetne, zdolność podchwytywania i spostrzegania dysonansów naszego społecznego życia obecnego lub przeszłego, a obrazy maluje z energją i siłą pięknym i jędrnym językiem. Rymowanie słabe w pierwszym utworze (Wszyscy za jednego) w ostatnim (Las) jest pełne i prawie bez zarzutu. Ostatniego słowa o p. W. i jego poezjach powiedzieć jeszcze nie można: widać ciągły postęp, kształcenie się, znać że jeszcze postępuje, bo na-

wet budowa całości słaba w „Laszce“, jest kształtną i lękką w ostatnim poemacie (Las).

Tyle na dziś można powiedzieć o poezjach p. Wysockiego, a to dać już mu może poczesne miejsce na naszym Parnasie.

NA DNIE

Studjum społeczno-psychologiczne

przez

Iwana Franko.

(Ciąg dalszy).

V.

W kaźni wszczął się szmer. Śpiący się pobudzili i powstawali; jeden tylko Stebelski leżał na swojem miejscu, a Bowdur, oparłszy głowę na ramieniu, dumał w ciemnym kącie, żując bagę. Stary żyd jął rozpytywać Andrzeja, naprzód po żydowsku, a potem po rusku, a siedzący obok niego na podłodze wieśniak znowu zapłakał, chwycił się za głowę oburącz i zaczął się wahać wprzód i wtył, wciąż zawodząc przerywanym głosem:

— I jakąż mnie... licha dola zanio-sła do tego Droho-obycza! Nie by-yłoż mnie siedzieć spoko-ojnie w Borysła-awiu, albo kupić za tych nieszcze-ęsnych pięć szóstek, com za-arobił, mąki dla dzieci i pójść so-obie do do-omu!

Dobry mi gospodarz! — żartował dziad — robił dzień w Borysławiu, zarobił pięć szóstaków, a dziś przy święcie wybrał się do Drohobycza chleb kupować. I ubrał się, nieborak jak stryj na wielkanoc! Spodeńki niczego, — lżej chodzić, kiedy na człowieku nie wisi tyle płótna. Gunia także odświętna; chciał zakasać poły, ale snać przez pomyłkę — oderwał. A może gdzie zagościł i szczerzy przyjaciele puścić go nie chcieli i chwycili za poły; lecz grzesznemu człowiekowi trudno wysiedzieć, — czas do miasta, ludziom się przypatrzyć i siebie pokazać; więc trzask-prask, poły zostawił i od dobrych przyjaciół uciekł! Lecz zaledwie się pokazał koło kościoła, na najwidoczniejszem miejscu, jak ci przyskoczą do niego apostołowie boscy, jak wezmą pod ręce i — sługa waszmości, prosimy do izby!

Nasz chłopek płakał ciągle, podczas tych słów dziada, inni się śmiali.

— Dziateczki moje — zawodził — co tam z wami się stanie?... Zostawił ja was samych w chałupie, drobiazg taki, bez okruszynki chleba! Toż one tam poginą z głodu, skoro jutro nie wrócę do domu!...

— O jeszcze dalekie to jutro! — wtrącił czarno-włosy żydek. Trzeba było dziś wracać, a nie chodzić do Drohobycza szukać szczęścia.

— Ot byś milczał i nie rżnął mnie bez noża! zawołał wieśniak pochyliwszy głowę i zaszlochał znowu jak dziecko.

— Ale nie — dodał po chwili stanowczym tonem, oni mię muszą wypuścić. Cóż ja im winienem? Czyżem co ukradł, lub zabił kogo? Za cóż mię trzymać mogą? Po tych słowach podniósł się z podłogi i stanął pododrzwiami, a przyłożywszy twarz do zabitej wizytyrki, śledził przez małą szczelinę ruchy kręcących się po podwórzu policjantów.

— Dziadku, — ozwał się wtem głos leżącego na łóżku wieśniaka — dziadku Pańku, czyście to wy wybrali z mojej fajki resztę tytuniu?

— Nie, to nie ja — odrzekł dziad, — był tam u was inny gość.

— Któż taki? — zapytał włościanin zmarszczywszy brwi.

— A nasz burger! patrzcie, jeszcze gryzie maczkę.

Włościanin milczał chwilę, gniewnie patrząc w stronę, gdzie drzemał Bowdur, a potem nie mówiąc słowa, podszedł ku niemu i zaciśniętą pięścią tak silnie uderzył go z góry w głowę, że Bowdur aż stuknął nią o ścianę.

— Ty Bowdurze, czy raz ci mówiłem, żebyś do mnie nie przyłaził! Nie rusz tego co moje! Tobie wara od mojej pracy!

Zamiast wszelkiej odpowiedzi Bowdur kopnął z całej siły nogą w brzuch włościanina, chociaż sam uczuł przytem taki ból w nodze, że aż jęknął. Włościanin zachwiał się i oparł plecami o ścianę.

— Ażeby cię grom!... — wrzasnął — to ty mi jeszcze tak odpłacasz za moje dobro?

— Żeby ci takie dobro i na tamtym świecie się dostało, krzyknął Bowdur, z trudnością zrywając się na nogi. Chciałbyś za szczyptę niedogarków człowiekowi łeb rozwalić.

— I oko bym wyłupał za to co moje! — odrzekł włościan. — Co moje — tego nie tykaj! Rozumiesz? Postaraj się sam, to będziesz miał. Ja twego pewnie nie ruszę!

— Prawda, że nie ruszysz, dopokąd będę pilnował! Ale niechno się obrócę w drugą stronę, to wnet cap! i jest. Znamy my takich.

Zamiast odpowiedzi włościanin znowu zmierzył się do Bowdura.

— Więc żal ci twojej maczki? — rzekł tenże ponuro patrząc mu w oczy. — Więc masz, kiedy cię tak o nią zęby bolą! I mówiąc to, wypluł całą przeżutą już maczkę w twarz włościaninowi.

Czarny, cuchnący sok spłynął po twarzy, i brodzie na koszulę zostawiając po sobie ciemne smugi. Dziad Pańko się roześmiał, a Mytro drżący skulił się na swojej siermiędze, bojąc się bójki.

— Coś ty mi zrobił? wołał włościanin, ochrypłym i przytłumionym ze złości głosem, przystępując do Bowdura z podniesionemi pięściami.

— Oddałem ci twoje z dodatkiem! — odrzekł ponuro Bowdur i nie czekając zaczepki, ugodził włościanina kolanem w brzuch tak silnie, że ten jęknął, zachwiał się i jak długi padł na podłogę, a Bowdur znowu spokojnie legł w swoim kącie, nie zwracając wcale uwagi na krzyk i narzekania potłuczonego przeciwnika.

— Ten jest u nas „starszym polowym“, — rzekł Pańko zwracając się do Andrzeja, — pilnuje „swego“ jak oka w głowie, i ciągle gotuje się wydłubać Bowdurowi oko, ale jakoś jeszcze dotąd lituje się nad nim. A nawet warto, dalipan warto, — za garść bagi — oko!

— A wy skąd, gospodarzu? — zapytał Andrzej włościanina; lecz ten, sapiąc zawzięcie, znowu leżał na łóżko i pykając fajkę, patrzał w sufit, jak gdyby nie słyszał Andrzejowego pytania.

— Oni z Dorożowa — odezwał się znowu wesoło dziad Pańko. — To wielka wieś, ten Dorożów; żyją tam wielcy wszarzy, wielcy podpalacze, a i wielcy złodzieje, co się wciąż tylko kłócą o „moje a twoje“ i tak się już w końcu zbałamucili, że wreszcie żaden nie wie, co moje a co twoje.

— Milczałbyś lepiej dziadzie, a nie plótł głupstw! — mruknął Dorożowski.

— Ahij na twoją głowę, odrzekł śmiejąc się dziad, — jeszcze ci krzywda żarłoku! Wszak ci to nie „twoje“ co ja gadam! — Ot i jego, grzesznego — prawił dalej Pańko Andrzejowi — zamknęli także za „moje i twoje“: Kupił ci on u żydka skórę za 30 ct., a skóra warta była z półtora guldena. Żydek capnął 30 centów i w nogi, a jego, sługę Bożego, żydzi pochwycili i do Iwanowej chaty!...

Dziad znów zachichotał, a z nim i Mytro i czarnowłosy żydek, którego dziad nazwał był „kieszonkowym majstrem“. Dorożowski już się więcej nie odzywał, tylko pykał fajkę, wydmuchując dym ku powale. Andrzej zaś przez cały ten czas stał pod ścianą, przy dziadowem łóżku, trzymając na ramieniu palto. Kolana się pod nim uginały ze zmęczenia, lecz nie mógł się zdecydować usiąść gdziekolwiek w tym brudzie, którym się brzydził. Nie mogąc ustać na miejscu, zaczął się przechadzać po kaźni, przeciskając się pomiędzy łóżkami i ludźmi leżącymi pokotem, chociaż i tak mógł zrobić zaledwie pięć do sześciu kroków. Wszystkie brzydkie i smutne strony życia aresztanckiego uderzyły go tu znienacka, rzucając ponury cień na jego myśli i przygniając go jakby ołowianym ciężarem. Wszelka nędza, ohyda i zepsucie otaczające go w tej przebrzydłej klatce, a rozwielmożnione również i po za jej ścianami, na dnie całej ludzkiej społeczności, gdzie i on czuł się teraz ze-

pchniętym, całe piekło niedoli miljonów przygniotło go olbrzymim swym ciężarem, a otaczając mózg i serce wężowymi sploty, zagłuszyły w duszy własny jego smutek i żal piekący.

A tam, za ścianami kaźni, na dziedzińcu, zalanym słonecznym światłem i wybrukowanym gładkiemi płytami, śmiali się wesoło policjanci grając w „kiksa“. W kaźni słychać było wyraźnie uderzenia palestry o kiczkę, słychać było śmiechy i kłótnie, wrzask jakichś żydów pojmanych na gościńcu wraz ze stadem wołów i przyprowadzonych na podwórze komunalne. Słychać było skrzyp pompy żelaznej, którą ktoś pompował wodę ze studni. Lecz prócz tego nic nie można było usłyszeć, nic dojrzeć, panował tu ów szary mrok, a zaklęte i nieruchome cienie pokrywały brudne ściany, łóżka i mokrą podłogę.

— Nie wiedzieć — rychło tam wieczór będzie — mówił dziad Pańko nakładając fajkę. — A wy panie — zwrócił się do Andrzeja — nie palicie?

— Nie, nie palę, — nie mogłem się jakoś przyzwyczaić.

— Szczęśliwy z was człowiek. Co ja, to dalipan zdechłbym tu, gdyby mi palić zabroniono. Na tydzień potrzebuję zawsze dwie „papuszki“, gdyż te lepiej kupować niż paczki.

Tymczasem Mytro, chcąc się przekonać czy daleko jeszcze do wieczora, stanął na żelazną poręcz łóżka i wyciągnąwszy ręce, chwycił się za kratę od okna, podźwignął się nieco w górę i wyjrzał na dziedziniec. Lecz w tejże chwili dał się słyszeć jakiś trzask, a Mytro jak oparzony puścił kratę i zleciał na podłogę, uderzając się o żelazną krawędź łóżka.

— A ty złodzieju, nie możesz tam siedzieć kamieniem będziesz wyglądać mi tu jeszcze! — rozległ się z podwórza krzyk kaprala, który przechodząc pod oknem właśnie w chwili gdy przez nie wyglądał Mytro, i ujrzawszy ręce jego na kracie, uderzył go po nich z całej siły rzemienną trzepeczką, bez której nigdy się nie ruszał. Jęknął Mytro, wyprostował się i z żalem spojrzał na ręce, okraszone dwoma potężnymi sińcami. Ze łzami w oczach, lecz z uśmiechem na ustach przymówił do dziada: — „Już wnet słonko zajdzie!“ Potem usiadł na łóżko, i otarłszy łzy rękawem, jął chuchać na bolące palce.

VI.

Brzęknęła kłódka swoim cichym pobrzękiem, zazgrzytał klucz, drzwi się odchyliły, a przez nie wsunęła się głowa kaprala, który całą swą postacią zasłonił otwór nie wpuszczając ani odrobiny światła do wnętrza.

— Andrzej Temera! Do pana inspektora! — huknął kapral i zamknął drzwi za wychodzącym Andrzejem.

W kaźni po jego wyjściu przez chwilę zapanowała cisza.

— Jakiś uczciwy panek, biedaczysko, pierwszy przemówił dziad Pańko.

— Ot, ladaco jakiś i włóczęga, — mruknął pod nosem Dorożowski gospodarz. Uczciwych panków nie prowadzą ciupasem!

— A uczciwych gospodarzy Dorożowskich prowadzą? spytał uszczypliwie Mytro.

— Milczałbyś lepiej i leżał cicho! — ofuknął go z gniewem Dorożowski.

Po chwili znowu nastała cisza, słychać tylko było pykanie fajki w rękach dziada i żałośne szlochanie odartego wieśniaka, stojącego wciąż jeszcze pode drzwiami, jakby wyglądał dopustu łaski bożej, która miała mu otworzyć żelazem okute podwoje i wypuścić na wolność z jego pięciu szóstkami do drobnych, zgłodniałych dziatek.

Znowu brzęknęła kłódka, uchyliły się drzwi i wpuszczono Andrzeja z paltotem zwieszonem na ramieniu.

— I cóż wam powiedzieli? spytało naraz kilka głosów.

— Nic, — odrzekł smutnie Andrzej. Wypytali się dokładniej i kazali czekać na papiery. — Powiedziawszy to umilkł i zaczął chodzić po kaźni. Milczeli i drudzy aresztanci. Każdy z nich przypomniał sobie własne swe położenie i ową trawiącą niepewność w oczekiwaniu na papiery i na myśl o tem serca wszystkich ścisnęły się żalem i współczuciem dla tego młodego pana, osądzonego jednem słowem starosty i inspektora na długie chwile więzienia, które tak boleśnie dało im się we znaki, jednem słowem, podobnie jak każdego z nich, oderwano i jego od pracy, przyjaciół i od całego świata i wrzucono w ten ponury, ohydny loch, na dno społecznej niedoli!...

Pierwszym, które przerwał ponure milczenie był Bowdur. Podniósł się jak mara ze swego kąta i zbliżywszy się do Mytra z wyciągniętą dłonią, przemówił ostro: Mytro, daj chleba!

— Smoły mu gorącej, nie chleba! rzekł Dorożowski. Ale Bowdur nie cofnął się i wyciągnąwszy rękę zawołał powtórnie:

— Mytro, dawaj chleba!

— Kiedyż bo sam odrobinę mam tylko, nie będzie czem pośniadać zanim przyniosą świeży, a wiesz, że muszę iść na robotę skoro świt.

— Dawaj chleba! — nalegał uparcie Bowdur, nie słuchając żadnych tłumaczeń.

— Wszak słyszysz, że ledwie mnie samemu starczy.

— Ale bo ja nie mam i okruszyny, a zgłodniały jestem jak pies!

— Nie trzeba ci było jeść przez cały ranek, ale na wieczór zostawić! — rzekł dziad Pańko.

— Miczałbyś lepiej, stara torbo! — odburknął gniewnie Bowdur, a zwróciwszy się do Mytra zawołał:

— Słyszysz, czy nie, dawaj chleba!

Ale dziad Pańko tym razem nie ścierpiał obrazy. Jak młody poskoczył z łóżka i zastukał o podłogę drewnianem szczudłem. Ty, odmieńcze jakiś! — krzyknął na Bowdura, coś ty tu za pan, żeby ci nie można było i słowa powiedzieć? Marsz w kąt i gnij tam dalej, póki cię robactwo do reszty nie stoczy!

I silną dłonią odepchnął Bowdura, tak że ten aż potoczył się pod ścianę.

— No, no, trącaj, trącaj, trąciło by cię w gorączkę! mruczał przez zęby Bowdur.

— Ciebie samego niech w zimnicę trąci! — odpowiedział dziad Pańko. Czego chcesz od chłopca? czy twój chleb je? — Lezie mu w oczy i pod sam nos wyciąga łapę: Mytro, dawaj chleba!

— Tak mi się podoba, i co mi zrobisz? upierał się Bowdur.

— Co jabym ci miał robić, gadzino jakaś! Niechaj ci ten robi, co po sosnach łazi, a nie ja!

Andrzejowi niewypowiedzianie przykro było słuchać tej kłótni. Począł więc uspakajać dziada, a potem wydobywszy z kieszeni spory kawałek chleba, podał go Bowdurowi mówiąc: weź to i posil się, kiedyś zgłodniały. Zostało mi się z domu jeszcze, ale gdzie mi teraz myśleć o jedzeniu!

— Ej Panie — rzecze dziad Pańko — nie rozdawajcie chleba; nie teraz, to za godzinę, albo jutro z rana jeść się wam zechce, a nie rychło przyniosą. — A macie zaco kupić, jakby wypadło?

— O, mam aż pięćdziesiąt guldenów, wziąłem je jako zadatek od kolegi, do którego jechałem na lekcję; będę zmuszony zdaje się, wydać cokolwiek z tych pieniędzy, chociaż one, prawdę mówiąc, nie należą jeszcze do mnie.

— No zapewne, w takiej przygodzie człowiek musi się ratować jak może — rzekł dziad Pańko.

Podczas tej całej rozmowy Bowdur, strasznem jakiemś i dzikiem okiem wpatrywał się w Andrzeja. W ręku trzymał jeszcze chleb jego, lecz mu zań nawet nie podziękował; nic też nie mówił i zdawać się mogło, że Andrzej dał mu do ręki nie kawał dobrego, pszenicznego chleba, lecz rozpalone żelazo, — tak się twarz Bowdura wykrzywiła i tak niedoopisania dziki wyraz przybrała. Trudno było odgadnąć, czy ból, czy żądza, czy też wdzięczność na niej się malowała; aresztanci jednak nie zwracali na to uwagi. Bowdur, popatrzywszy chwilę na Andrzeja, jakby mierząc oczyma jego siły, ścisnął w prawej dłoni chleb,

odgryzł na raz spory kawałek i wrócił do kąta, gdzie też wnet znikł z przed oczu; słychać było tylko głuche cmokanie ust żujących suchy chleb.

Czy wiedział biedny Andrzej, że chlebem swoim i dobrem słowem zatruł zgniły spokój tego człowieka, który w zaniedbaniu i niedoli snać sam zrzekł się swej ludzkiej godności, upadając coraz niżej i niżej — może niżej od źwierzęcia nawet?

Czy wiedział Andrzej, że chleb jego wywoła przewrot w duchowości Bowdura, rozbudzi resztki myśli jego, rozpali niezupełnie jeszcze wygasłe uczucia, że ten chleb jego, którym chciał uśmierzyć głód towarzysza, stanie się dla tego ostatniego żarem palącym, źródłem strasznego głodu, strasznej żądzy? Nie, nie wiedział tego Andrzej Temera — bo gdyby był wiedział, to mimo całą swą dobroduszność i ludzkość, może... może nie byłby dał tego kęsa chleba nieszczęśliwemu Bowdurowi!...

— Mój Boże, różni ludzie bywają na świecie — prawił dalej dziad Pańko. — Jeden, toby, ot jak nasz Dorożowski, za kawał chleba rodzonemu bratu oko wydarł, a inny znowu, choć i sam głodny, oddaje drugiemu ostatni kęs. I to nie tylko oddzielne osobistości, ale całe wsie są takie. W niejednej wsi naród kłóci się i gryzie między sobą o miedzę, o mostki, o trochę trawy, o bodak, — słowem istne piekło. Tam ci ani dziadowi nikt nic nie da, ani podróżnego nie przyjmie, ani nikogo nie poratuje w potrzebie. I wciąż tam słychać tylko: to moje! a to twoje! A pomimo to wciąż tracą to „swoje“ i coraz im ciaśniej na świecie. W innych wsiach znowu ludzie żyją jak bracia, w zgodzie i przyjaźni... Kłótni tam, ani obmowy nie ma: jeden drugiego w pracy wspomoże, pieniędzmi i chudobą w potrzebie poratuje, i biednego nie opuści i podróżnego przyjmie, nakarmi, no i jakoś z tem wszystkiem nie ubożeją — żyją dostatnio i dzieciom jeszcze coś zostawią. Już to o tem kto, jak kto, ale ja wiem dobrze, chociaż nie długo chodziłem o żebranym chlebie. Ale to wam tylko mogę powiedzieć, że tu na Podgórzu lud daleko lepszy, niż tam w dolinach.

— Bo tam może lud uboższy? — zauważył Andrzej.

— Bóg jeden wie, jak to tam jest, — odrzekł dziad. Niby to tak, a niby nie tak. Bo to w dolinach i grunta lepsze, i gospodarze bogatsi, a jeno taka jakaś zawiść między ludem, taka złość, że niech Bóg uchowa. Tu zaś, przyjdź i do najuboższego, to ci nie odprawi człowieka z niczem, a bodaj cokolwiek wetknie mu w rękę. Tymczasem słońce zaszło i w kaźni zapanowała zupełna ciemność. Dziad, a za nim i Mytro uklękli do modlitwy.

— No, czas nam spać, — rzekł dziad skończywszy pacierze. — Nie wiem tylko, gdzieby tu was, panoczku, umieścić. Ustąpiłbym wam chętnie miejsca, ale ja stary, kaleka...

— Nie, nie, nie potrzeba — przerwał mu z żywością Andrzej. — A to by było pięknie! Spać i tak mi się nie chce; zdrów jestem i silny, przepędzę więc tę noc na nogach, a potem zobaczymy, co Bóg da.

— E, paniczu, nie tak to łatwo zrobić, jak powiedzieć! — odrzekł dziad. — Możebyście wy, Dorożowski, odstąpili wasze miejsce paniczowi?

— U nas nie ma miejsca dla paniczów, mruknął Dorożowski. Panicze niech panują, a nie włóczą się po aresztach. A kiedy ich już licho tu przyniesie, to mogą leżeć pod łóżkiem. Tam bezpieczniej, można się wygodnie ulokować i być pewnym, że się nie spadnie!

Nieprzyjemnie dotknęły Andrzeja te szorstkie słowa, lecz nic na nie nie odpowiedział i ponownie prosił Pańka, aby się o niego nie troszczył, bo już jakoś sam sobie poradzi...

Wtem Mytro szarpnął go z lekka za połę i szepnął:

— Wy panie, pochodźcie jeszcze chwilę, a ja zasnę sobie; skoro się jednak zmęczycie i sen was zmoże, to mnie zbudzicie, a wstanę natychmiast i was puszczę na moje miejsce.

— Dobrze, bracie, Bóg zapłać — odrzekł Andrzej. — Tu masz moje palto, przykryj się niem, bo w nocy będzie zimno, a mnie ono — choć lekkie — ciężyć zaczyna na ramieniu.

Wszyscy się pokładli, jedni rozebrani, drudzy w ubraniu, jeden tylko Andrzej, szeroko rozwarłszy oczy, aby nie zawadzić w gęstej ciemności o śpiących, zaczął zwolna przechadzać się po kaźni, jak zaklęta dusza, zlekka stukając butami o mokrą, asfaltową posadzkę.

VII.

Myśli jego, przytłoczone ciężarem wszystkich doznanych wrażeń, rwały się z początku i wikłały. Bezładne urywki obrazów, które widział dnia dzisiejszego paliły mózg jego krzyczącą niesprawiedliwością, ścinając krew w żyłach bezgraniczną brzydotą swą i ohydą. Lecz zwolna, gdy ciemność coraz gęstsza osłaniała jego wzrok cielesny, myśli się uspakajały i porządkowały, pamięć zapanowywała nad obrazami wyobraźni i duch z trudnością wprawdzie, ale szybko wydobywał się z tej ciemnej toni na jasne przestworza zasiane gwiazdami, na czyste krystalowe wody, na wolny wesoły świat, z którym się pożegnał dziś z rana, niewiedzieć na jak długo!

A świat ten nigdy może nie wydawał mu się tak pięknym, wesołym i wolnym, jak tego właśnie poranku! Nigdy jeszcze dusza jego nie czuła w sobie tyle siły i energji jak przed owym strasznym, głębokim

upadkiem. Nigdy jeszcze tyle świetnych nadziei na przyszłość nie roiło mu się w głowie, jak na kilka chwil przed ciosem, co je miał wszystkie w samym zarodku zniweczyć. Nigdy jeszcze gwiazda miłości nie jaśniała mu tak pięknie, tak uroczo, jak właśnie dziś przed ową chwilą nieszczęsną, w której miała zgasnąć może na wieki!

Całe jego życie upłynęło w biedzie i niedostatku, w ciężkiej walce o utrzymanie i naukę. Sierota, bez ojca i matki kończył szkoły, utrzymując się z własnej pracy. Od najmłodszych lat przywykł do pracy i ukochał naukę, a im wyżej postępował w klasach, z tem większym zapałem lgnął do niej. Największą dla niego radością było natrafić na dobrych nauczycieli, którzy umieli zająć ucznia, otwierając przed nim pole do samodzielnego rozmyślania i pracy. Los chciał, że przed samą maturą zaczął chorować na piersi i oczy.

Po maturze więc dla poratowania zdrowia wyjechał Andrzej do kolegi i przyjaciela w góry i tam poznał siostrę tegoż, Hanię. Nieznane mu dotąd uczucie miłości dla kobiety obudziło się w nim nagle, młoda krew zawrzała, zaczął patrzeć inaczej na świat rzeczywisty i mgła poglądów książkowych, zasłaniająca mu dotąd istotę rzeczy, pierzchała coraz bardziej. Przytem i nowe uniwersyteckie otoczenie, wśród którego się ujrzał, naprowadziło go na inne myśli, rozwinęło nowe poglądy na życie, na główny cel nauki, oświaty i wszystkich usiłowań ludzkich. Własna jego przeszłość przedstawiła mu się w odmiennem świetle, liczne wyniesione ze szkoły przekonania i zasady chwiały się i znikały bez śladu. Był to czas ciężkiej wewnętrznej walki, długiej i trawiącej, wśród której miłość go tylko podtrzymywała, dodając mu sił i odwagi. Wraz z nim i Hania, z którą bez przerwy korespondował, przechodziła wszystkie fazy rozwoju umysłowego i ta wspólność dążeń, zachęcała ich do wytrwania na drodze, którą raz obrali. Postanowili oboje poświęcić życie swe walce o wolność, t. j. o oswobodzenie ludu z pod obcej przemocy, a ludzi od jarzma jakie nań wkładają nieszczęśnie urządzone stosunki społeczne, — walce za swobodę pracy, myśli i nauki, serca i rozumu. Wspólnie roztrząsali te nowe, wyższe ideje, śledzili rozwój ich w całym świecie, cieszyli się z przybywających zwolenników i starali się na wzniosłych tych zasadach zbudować cały swój światopogląd. Były to błogie chwile dla Andrzeja i Hani, jak to zwykle bywa, gdy człowiek z człowiekiem dzieli się najdroższemi myślami i podaje bratnią dłoń na polu najświętszych przekonań! Lecz obojgu im jeszcze czegoś brakowało. Po gorących sporach o teorję, po odczytaniu najpiękniejszych i najlepszych dzieł o przedmiocie, którym się zajmowali, mimowolnie zaglądali sobie w oczy głęboko — jak gdyby tam chcieli wyśledzić jeszcze coś więcej, jak zgodność teorji. Oczy ich pałały ogniem gorętszym od ognia prze-

konań, usta drżały nie od słów wywodów naukowych, a policzki okraszała nie sama tylko radość z odkrytej prawdy. Krew ich żywiej grać zaczynała, ilekroć się zeszli, a siła która ich pociągała ku sobie, była wcale inną, potężną siłą. I nieraz też wśród czytania, wśród najzawziętszych sporów teoretycznych, głos ich zadrżał i zwolna zamierał na drgających ustach, ręka szukała ręki, a wzrok lubego wzroku i...

— Ach! — jęknął półgłosem Andrzej, spieszniej krocząc po ciemnej kaźni, — czemuż te chwile tak szybko przeminęły, czemuż nie trwały dłużej? Dlaczegoż musiałem utracić cię i utracić na zawsze, Haniu szczęście moje?...

Z uczuciem mimowolnej trwogi przebiegał myślą czasy prześladowania i męki za ukochane ideje. Widział się w więzieniu, przed sądem, — przed wspomnieniem jego przesuwały się zjadliwe, bezwstydne urągania gazeciarskie z jego poglądów. Drżał na całem ciele wspominając to wszystko. Dalej przyszła mu na myśl jego strata. Rodzice Hani zakazali mu bywać w ich domu, widywać się z Hanią i pisywać do niej, przejmowali nawet listy, które jej ukradkiem posyłał, aby w utrapieniu swojem choć kilkoma słowy podzielić się z ukochaną istotą. Jeszcze jakieś dwa, trzy razy zabłysło mu dawne szczęście na kilka chwil i wnet zapadła noc, ciemna noc smutku, żalu, rozpaczy... Hanię zmuszono wyjść za mąż za innego. I tę stratę jednak Andrzej przebolał.

— Ha! Cóż — myślał, on człowiek dobry, szczery, myśli jej nie stłumi, serca nie zagłuszy, — ona z nim szczęśliwą będzie, pokochała go, — ja natomiast!... Czemże jestem bez niej? Wszakże ona była moją duszą, moją siłą, nadzieją! Czemże teraz jestem bez duszy, bez siły, bez nadziei?...

— Trupem! trupem — chodzącym do czasu!

— Wszystko, com najmocniej ukochał w świecie, dziś stało się dla mnie goryczą. Gdybym tak nie był ukochał jej całą duszą, mógłbym teraz jeszcze pokochać drugą, odnaleźć utracone szczęście! Gdybym tak nie był ukochał wolności całą mą istotą, nie znosiłbym teraz niewoli, lub też niewola nie byłaby tak nienawistną dla mnie, tak bolesną!

A dalej przyszło mu na myśl ostatnie widzenie się z nią już po ślubie z tamtym, widzenie się, które miało miejsce niedawno, wczoraj, dziś z rana! Ich rozmowa, ich radość zmięszana z żalem i goryczą, wszystko to pali go, męczy, przygniata. A jednak był szcześliwym wówczas, ach, jak szczęśliwym, bo w owych chwilach właśnie uczuł, że miłość jego jeszcze nie ostygła, nie zamarła, że ona żyje, pała jak dawniej, opanowuje jego myśli, kieruje wszystkiemi jego dążeniami i żądzami, zupełnie jak dawniej. Prawda, że teraz dziesięćkroć głębiej uczuł swą stratę, rana już trochę zabliźniona wpływem czasu, rozwarła się na

nowo; krew uśpiona żalem i cierpieniami znów zagrała, lecz cóż ztąd! Wraz z dawną miłością poczuł w sobie i dawną siłę, dawną ochotę do pracy, do walki za wolność...

— Haniu, serce moje, cóżeś ty ze mną zrobiła? — szeptał upojony złudnem szczęściem.

— Com ja z tobą zrobiła?... Wszak sam mawiałeś, że mnie nie wiążesz... A ja tak wiele, tak strasznie wiele przecierpiałam dla ciebie! Lata całe!...

Łzy potoczyły się z jej oczu, a on przyciska ją do serca, jak gdyby dawne, urocze chwile ich swobodnej miłości jeszcze nie minęły.

— Haniu, szczęście moje — cóżeś ty zrobiła ze sobą? Czy znajdziesz dość sił, aby się oprzeć otaczającym brudom, rozwijać się i bronić wolności i dobra jakeśmy to sobie nieraz postanawiali?

— Nie zapomniałam ja tego, mój miły i nigdy nie zapomnę. A sił wystarczy mi na to. Mój... mój mąż pomoże mi!

— A ze mną co się stanie, Haniu? Któż mnie dopomoże wytrwać na ciernistej drodze samemu?

Ona uśmiechnęła się słodko.

— Nie trwóż się, miły mój! Nie frasuj! Jeszcze wszystko zmieni się na dobre i wszyscy będziemy szczęśliwi, wszyscy!...

Andrzej chwycił się za głowę oburącz i znów zaczął biegać po kaźni.

— Wszyscy będziemy szczęśliwi, wszyscy?! Nie — to nieprawda. Haniu! Wszyscy będą szczęśliwi kiedyś, może będą nimi wnuki nasze, którzy nie będą wiedzieli, jak cierpieli, jak się męczyli dziadowie i pradziadowie dla ich szczęścia! Cóż my znaczymy? Jednostka wśród miljonów! Jakaż jej wartość? I my chcemy być szczęśliwi, kiedy miljony dokoła nas wśród łez się rodzą i giną!...

Chodził dalej z szeroko rozwartemi oczyma, jak gdyby chciał wciągnąć w siebie tę gęstą ciemność. I zdawało mu się, że w istocie płynie ona do wnętrza jego tysiącem potoków, płynie bez przestanku wszystkimi otworami, zalewa wszystkie nerwy, napełnia mięśnie, kości i żyły, że już nie krew, lecz gęsta ciemność leje się chłodnym strumieniem do piersi jego i serca. Dreszcz go przejmuje, słabo mu się zrobiło, lecz trwało to krótką chwilę. Chciał się otrząsnąć z tej mary, ale wnet się przekonał, że to nie mara senna, tylko smutna rzeczywistość.

Więc chodził dalej niezmordowanie, wciągając wszystkiemi porami chłodnawą wilgoć, nasiąkał się nią jak gąbka, oddychał nią, czuł jej chłodny powiew w gardle, w płucach, — wszędzie. I robiło mu się lżej, coraz lżej. Ból ustawał. Wyobraźnia zamierała; przed oczyma jego duszy przestały się przesuwać obrazy smutne, zarówno jak i wesołe. Wszyst-

ko oniemiało, przycichło. Zrobiło mu się tak lekko -- jakby w letniej kąpieli. Zdawało mu się, że pluszcze się z cicha w czystych, lekkich falach, fale cichutko szemrząc pieszcząc go rozkosznie. Aż tu przecięto mu żyły — tak jakoś nieznacznie, bez bolu i krew z nich płynie, tak łagodnie, tak słodko i mile. Wypływa ta niespokojna, burzliwa krew rewolucyjna, a zamiast niej w żyłach wolno zaczyna obiegać gęsta, chłodnawa ciemność... Wraz z ostatniemi kroplami krwi, łzy palące polały się z oczu Andrzeja. Daleki odgłos dzwonu, jakby uderzenie piorunu, przerwał nagle ciszę, budząc Andrzeja z zadumy. Drgnął przerażony i oprzytomniał w oka mgnieniu.

— Ach, to pierwsza godzina, a jam taki zmęczony, ledwie żyję! — szepnął i omackiem zaczął szukać miejsca na łóżku obok Mytra.

— A to pan? — szepnął budząc się Mytro — kładź się pan tu, a ja wstanę.

— Nie, nie potrzeba, odrzekł Andrej, — dla mnie dość miejsca, ot tu, koło ciebie! I położył się przy Mytrze objąwszy rękami jego szyję. Gorąca, rewolucyjna krew snać jeszcze z niego nie wypłynęła; łzy znowu mu się polały z oczu, — jął gorąco całować twarz Mytra, a łzy jego spadały dużemi kroplami na młodą, dziecięcą twarz nieoświeconego brata.

— Czegoż płaczecie, panie? — pytał z współczuciem Mytro.

— Płaczę, bom nieszczęśliwy, bracie!

— Nie płaczcie — uspakajał go chłopiec, całując serdecznie, jakoś to będzie. Jam może jeszcze nieszczęśliwszy od was, a jednak nie płaczę!

Ciemność i wilgoć coraz gęściej zapełniały kaźnię, przygniatając swym ciężarem wszystkie serca, które tam biły: jedne spokojnie, drugie trwożliwie, inne boleśnie, a niektóre nawet szczęśliwie. Na krawędzi zaś łóżka objąwszy się wzajemnie, zasnęły obok siebie dwa młode umysły: oświecony obok ciemnego i trudno było odgadnąć, które z tych dwóch nieszczęśliwych serc było — szczęśliwsze... (C. d. n.)

Sprawozdania literackie.

Księżniczka, powieść Zofji Urbanowskiej, nagrodzona na konkursie imienia Pauliny Krakowowej. Warsz. 1885.

Grono przewodników i przewodniczek młodzieży, dla uczczenia pamięci Krakowowej — postanowiło ogłosić konkurs na napisanie powieści, która streszczając w sobie potrzeby i ideały chwili obecnej, przedstawiłaby dodatni typ młodej dziewczyny i wzór dojrzałej kobiety. Obie postacie miały rozwijać się

i działać na gruncie stosunków społecznych i w łonie średnich warstw społeczeństwa. Takie były w zarysach ogólnych wymagania komitetu konkursowego, w skład którego weszli wybitniejsi warszawscy pedagogowie i znawcy naszego piśmiennictwa.

Nagrodę — we właściwym czasie otrzymała p. Zofja Urbanowska ze jednotomową powieść, której nagłówek podaliśmy wyżej. Utwór ten, pod względem artystycznym, nie zasługuje na bliższą uwagę. Na każdej niemal stronicy zdradza on swoje, że tak powiem, „obstalunkowe“ pochodzenie. Purytanizm w traktowaniu postaci dodatnich, przesada w charakterach ujemnych, sztuczne nałamywanie logiki wypadków, do programu z góry narzuconego, dalej — nieprawdopodobieństwo położeń, zbytek mentorskiej refleksji, wewnętrzna sprzeczność pomiędzy założeniem i rozwiązaniem — oto są zasadnicze cechy psychologji i techniki artystycznej tego powieściowego programu. Obecność błędów powyższych z góry już przewidzieć i w znacznej mierze usprawiedliwić było można: wielki talent w ciasne karby komitetu wejść nie chciał, mierny zaś — ciasnoty ich ubarwić nie umiał.

Na powieść p. Urbanowskiej nie należy też patrzeć, jak na dzieło sztuki. Daleko większe musi ona budzić zajęcie jako program społeczny, jako środek wychowawczy, kształcący. Pod tymi też dwoma względami rozpatrzymy ją tutaj, poczynając od przedstawienia w kilkunastu wyrazach jej treści.

Bohaterką opowiadania jest Helenka Rolska, córka bogatego niegdyś ziemianina, którą dla jej wielkopańskich skłonności i postawy przezwano księżniczką. Ojciec jej — podupadły obywatel, mazgajowaty poczciwiec — jest typem, którego cierpliwości nasze piśmiennictwo w ogóle, a szczególnie p. Urbanowska — nadużyły. Straciwszy cały prawie majątek, osiadł on w małem miasteczku portowem nad Wisłą, gdzie mu pozostał jeszcze domek drewniany z ogrodem i gdzie znalazł posadę ajenta jakiejś spółki rolniczej. Niedołęztwo pozbawiło go niebawem zyskownego stanowiska -- niesumienni zaś dłużnicy, za których podpisywał weksle, nadali interesom jego jeszcze gorszy obrót. Dowiedziawszy się o smutnym stanie rzeczy, Helenka postanowiła „własną pracą“ ratować z upadku rodziców. Jedzie więc do Warszawy, gdzie u niejakiego Radlicza, jednego z akcjonarjuszów spółki, bogatego właściciela dóbr ziemskich i handlarza nasion, znajduje gorzką opiekę i liche utrzymanie. Radliczowie młodzi i starzy, mężczyźni i kobiety poruszają się, działają i mówią tak, jak gdyby połknęli po jednym poświęconym kiju. Jest to gromada wyciosanych przez autorkę komparsów, o przerażającej oschłości serca, zabójczej moralności i nieznośnem moralizatorstwie. Życie nie często daje nam spotykać podobne okazy, ale p. Urbanowska musiała przedstawić komitetowi kolekcję „ideałów“. Helenka (najsympatyczniejsza i najbardziej prawdziwa postać w całem opowiadaniu) pod wpływem kupieckich ideałów i dążności Radliczów przeobraża się powoli na machinę do przesypywania nasion, pozbywa się dawnej swej żywości i kosztownych nawyknień, nie traci wszakże miłości dla rodziców, chociaż widok mentorek i mentorów, mógłby ją był pozbawić wszelkiego żywszego uczucia. Niesumienność dłużników jej ojca przyprowadza go do ostatecznej prawie ruiny i grozi sprzedażą jedynej, pozostałej mu nieruchomości. Zawiadomiona o tem Helenka opuszcza Warszawę i wziąwszy z góry dwumiesięczną pensję, jedzie najprzód do sprawców ruiny ojca, a potem do domu. Zwiedziwszy kilka wsi, miast i miasteczek, namęczywszy się po drogach bitych, zwyczajnych i na przewozach rzecznych, po hotelach i biurach ajentów i w końcu, jak można było przewidzieć, nic nie sprawiwszy, powraca

do rodziców. Ojca jej ratuje z upadku szczęśliwy zbieg okoliczności i — młodszy Radlicz — syn. Ten, zjawiając się w charakterze „pompiljusza“, ofiaruje szlachcicowi kredyt, pannie zaś rękę. Ojciec Helenki do ostatka prawie nie poruszył się z miejsca, poprzestając tylko w chwili krytycznej na upartem odmawianiu koronki.

Pod względem społecznym księżniczka jest, jak widzimy, uzmysłowieniem programu pracy organicznej, przepuszczonej nadto przez alembik mieszczańskich aspiracji i ideałów. Przedstawicielstwo owej idei odrodzenia spoczywa w powieści na całej rodzinie Radliczów. Hasłem ich: „oszczędzać i robić pieniądze na to, aby oszczędzać i pieniądze robić.“ Oprócz takiej „ofiary“ żadna inna ludziom tym na myśl nie przychodzi. Patrjotycznem przykryciem ich pękatych kieszeni jest konkurencja z Niemcami i Rosją. Najstarsza córka Radlicza, mieszkająca na wsi, trudni się smażeniem konfitur i syropów owocowych — niby to pragnąc wyrugować z naszych rynków smażeniny kijowskie. O żadnej innej działalności, np. o oświacie ludu, ten szlachetny aparat smażący nie myśli. Wyjątkowo tylko — kiedy jakiś nicpoń spalił budynki dworskie — konfiturzysko postanawia uczyć dwoje jego dzieci, nie chcąc, aby wyrosły na hultajów. Najsmutniejszem jest to, iż autorka nie widzi całej lichoty malowanych przez siebie „ideałów“. Na zapytanie Helenki, jak sobie dzieci polskie radzą w szkołach z językiem rosyjskim — Radlicz odpowiada: Z razu trudno im jest, a potem przywykają. W odpowiedzi tej, nie mówiąc o jej „organicznym“ egoizmie, mieści się fałsz bezecny. Umysłowość polska — dzięki ruszczeniu nas — składa rok rocznie znaczną ofiarę z ogłupionych głów i zdemoralizowanych serc dziecięcych. I takie bezeceństwo otrzymuje u nas nagrodę konkursową!

Nie tu jest miejsce oceniać program pracy organicznej; nadmienię tylko, że autorka zohydziła go i zeszpeciła w naszych oczach jeszcze więcej. Jedna z najbardziej palących potrzeb chwili — poprawa i wyświetlenie stosunków wiejskich — potrzeba, na którą nawet twórcy programu początkowo wielki nacisk kładli — nie została przez panią Urbanowską uwzględnioną; zapewne usmażyła ją wraz z konfiturami. Co więcej, jedynem odbłyskiem życia ludu i stosunków chaty do dworu — jest zatarg Radliczów z owym podpalaczem; obecność jego w powieści da się usprawiedliwić artystycznemi pobudkami autorki: chodziło o rozbudzenie w sercu Helenki uczuć gorętszych dla Radlicza — pod wpływem obawy o jego życie. Ze stanowiska jednak tendencji społecznej i pedagogicznej utworu, podpalacz ów jest pomysłem szkodliwym i demoralizującym. Czas już wielki wziąść rozbrat z ową socjologją naszą, podług której jedynymi burzycielami harmonji sielskiej są u nas złodzieje i podpalacze, podług której — gdyby nie oni — nic i nikt nie przeszkodziłby panom Radliczom smażyć konfitur i robić pieniędzy. Powieść, napisana na temat „palących potrzeb chwili“, a nie uwzględniająca najważniejszej z nich, najbardziej naglącej, powieść która nie umiała odczuć i odźwierciedlić głównej i niemal jedynej nadziei naszego odrodzenia narodowego, powieść taka bez sądu powinna pójść do pieca.

Niemniej lichą jest księżniczka, jako dzieło wychowawcze. Największy podstawowy błąd pedagogiczny popełniła autorka, wkładając na swój „ideał dziewczęcia“ obowiązki takie, jakim żadna kobieta w jej położeniu podołać nie mogła. Ztąd to powstał ów wspomniany wyżej rozdźwięk wewnętrzny pomiędzy ułożeniem i rozwiązaniem zasadniczej myśli utworu. Nicią przewodnią, a zarazem główną dążnością księżniczki jest twierdzenie, iż usilna i wytrwała praca ratuje nas z upadku i krzepi w nieszczęściu. Cóż się okazało? Oto ojciec Helenki,

który dla wyratowania siebie palcem prawie nie poruszył — zostaje ocalony; ona zaś — dokazawszy cudów bohaterstwa i wytrwałości, nic prawie nie mogłaby zrobić, gdyby nie pomoc narzeczonego. Ztąd wniosek pedagogiczny: w chwili nieszczęść i niepowodzeń należy klepać koronkę, jeśli się jest mężczyzną, albo też czekać na swego Radlicza — w wypadku płci innej. O moralnym wpływie „organicznego" oportunizmu Radliczów i całej społecznej etyki opowiadania — nadmieniać nie potrzebuję.

Wieńcząc nagrodą konkursową powieść pani Urbanowskiej, członkowie komitetu złożyli dowód nietylko głębokiej nieznajomości naszych potrzeb dzisiejszych, nie tylko braku wszelkiego zmysłu wychowawczego, ale nadto całej lichoty i małości swoich ideałów społecznych i obyczajowych. *M. Bohdan.*

Istoriczeskija piesni małorusskawo naroda *t. I. II. (Kijów, 1874 — 75)*

Nowi ukrajiński pisni pro hromadśki sprawy *(1764 — 1880) Genewa, 1881.*

Polityczni pisni ukrajińskoho narodu *t. I., rozdiły 1. i 2. Genewa 1883, 1885.*

Profesorowie kijowskiego uniwersytetu, pp. Wł. Antonowicz i M. Dragomanow przedsięwzięli w ósmym dziesiątku bieżącego stulecia jedyne w swoim rodzaju wydawnictwo — opatrzone komentarzami — historycznych czyli raczej społecznych pieśni ludu ruskiego.

Rozejrzawszy się w nader obfitym materjale ustnej literatury, podzielili go w sposób następujący: I. część: Pieśni z okresu drużyn i rządów książęcych (od IX. do poł. XVI. stól.); II. część. Pieśni kozackie, a mianowicie: 1) pieśni o walce z Tatarami i Turkami do poł. XVI stól.; 2) pieśni o walce z Polakami do śmierci Chmielnickiego; 3) pieśni o kozackiej republice, Hetmańszczyzną zwanej, (do upadku Mazepy i ruiny Starej Siczy 1700 r.); 4) pieśni o upadku kozactwa; III. część: Pieśni z okresu hajdamackiego z 18 w.; IV. część: Pieśni z czasów rekruckich i pańszczyźnianych i V. część: Pieśni wolności (w Austro-Węgrzech z 1848—49, w Rosji z 1861—63).

Z tego zbioru wyszły w Kijowie w roku 1874 i 1875, dwa tylko tomy, obejmujące I. część i dwa pierwsze rozdziały części II., rychło bowiem rząd rosyjski począł prześladować ukraińską literaturę, wskutek czego wydawnictwo pp. Antonowicza i Dragomanowa zostało przerwane. Każdy z nich musiał prowadzić je osobno, a mianowicie: p. Antonowicz jako autor „Aktów o hajdamakach" miał wydać pieśni okresu hajdamackiego (z XVIII stól.), p. Dragomanow zaś podjął się wydać pieśni o społecznych sprawach z XVIII do XIX stól., podług następującego, nieco odmiennego planu: I. część: Upadek kozactwa, a mianowicie: 1) Zaporożcy od r. 1709—1739, 2) Hetmańszczyzna i t. z. Słobidczyna t. j. druga kozacka republika od r. 1709—1765, 3) Zaporożcy od r. 1740—1775 (t.j. do ruiny nowej Siczy), 4) Kozactwo po upadku Siczy; Zaporożcy w Turcji (1775—1828) i Czarnomorcy. 5) Kozacy jako „sołdaci". II. część: Ukraina pod rządem rosyjskim i austro-węgierskim, a mia-

nowicie 1) Państwo a służba wojskowa, 2) Pańszczyzna a oswobodzenie; Okres kapitalistyczny (najemna służba i wyzyskiwanie). Dodatek: Cudzoziemcy na Ukrainie i w krajach sąsiednich (Polacy, Moskale, Wołosi, Niemcy, Madjarzy, Żydzi, Cyganie, Turcy i t. d.)

Według tego planu wyszły już w Genewie 3 tomy, a mianowicie: Nowe ukraińskie pieśni o społecznych sprawach (1764—1880), Zaporożcy od r. 1709—1739, oraz Hetmańszczyzna i Słobidczyna (1709—1765). Nadmienić jednak wypada, że i inne oddziały historycznych pieśni są przygotowane do druku i już podano nawet w ogólnych zarysach główne ich wyniki, dzisiaj więc już możemy sądzić mniej więcej o całości tego wydawnictwa.

Komentarze autorów mają na celu nie tylko objaśnianie treści pieśni, imion historycznych i poruszanych tamże spraw, ale także, i to głównie, wypisanie ze źródeł krajowych i zagranicznych jak najwięcej materjału dla osądzenia danej sprawy. Z zestawienia tych źródeł z odnośnemi pieśniami wypływa, że te ostatnie mylą się często w podaniu historycznych nazwisk i w chronologji, lecz nigdy w oddaniu ducha danego okresu. Owszem, w tym względzie przewyższają one wspomniane źródła krajowe, i współczesne rymowane utwory ruskiej „inteligencji", czemu się bynajmniej dziwić nie można, jeśli się zważy, że pieśni te układali pod bezpośredniem wrażeniem najczęściej sami uczęstnicy. Dają one też pogląd na dzieje ukraińskie, przedstawiając je wespół z naukowemi komentarzami wydawców w świetle rzeczywistem, a nie w takiem, w jakiemby je chciano widzieć z różnych stronniczych punktów widzenia.

Rozpatrzmy więc, jak się przedstawia historja Ukrainy, podług tego materjału.

Za punkt wyjścia politycznej historji Ukrainy biorą wydawcy organizację wojennych drużyn. Drużyny te organizują się — podług ludowych pieśni tego okresu — z ludności krajowej i to początkowo samodzielnie.

Okoliczność, że kadry wojenne organizują się samodzielnie, dowodzi według wydawców, że pierwsza ruska ludowa pieśń historyczna datuje się jeszcze z czasów poprzedzających przyjście na Ruś Waregów, t. j. znacznie przed IX. stól. Tak daleko sięga w głąb swej historji pamięć ruskiego ludu!

W jednych z następnych pieśni życie drużyny nie koncentruje się już w „radzie", lecz około osobistości przewódcy wojennego. Wieje z tych pieśni dziarski duch odpowiadający przewadze Rusinów nad koczującemi plemionami. Drużyny wojenne pod przewodnictwem książąt Rurykowiczów, rychło jednak zwracają się przeciwko krajowej ludności, podbijają ją i zmuszają do płacenia haraczu. Spotykamy się w nich po raz pierwszy z historycznemi imionami, a mianowicie w pieśni pochodzącej z Podlasia, pod nazwą „Worotar" nazwany jest książe Roman, według wydawców — Mścisławicz halicki. Następne pieśni pochodzą z okresu, kiedy członkowie drużyny przechodzą ze stanu tymczasowo najętych wojowników w stan ziemskich bojarów, odznaczających się już nie walecznością, lecz bogactwem. Władają oni znaczną ilością pługów, zatrudniając wielu „ratajów"; a gospodarstwo ich jest bogate i dobrze urządzone. Pieśni współczesne zatrzymują się z upodobaniem nad szczegółami rolnictwa; widocznie lud zadowolony był z ograniczenia wojennych i łupieskich pochodów drużyny. Nie wyszło to jednak na trwałą jego korzyść, albowiem drużyny te, jak pierwiej na wojennych wyprawach, tak też obecnie jako więksi posiadacze ziemi, zajmują z książętami na czele pierwsze miejsce w życiu publicznem, usuwając na drugi plan wiece, t.j. rady mieszczan i rolników.

W dziwnej formie doszły do nas pieśni z tego okresu drużynnego i książęcego. Nie są to właściwie historyczne, lecz raczej obrzędowe pieśni, kolędy powinszowania i pieśni śpiewane przy zabawach, tak zw. „hajiwki“, w których szukać należy śladów historycznej prawdy, gdyż w ogóle w grach przechowują się ślady dawnych zwyczajów.

Najdawniejsze pieśni z tego okresu pochodzą przeważnie z Galicji i Podlasia. I nie dziw! Te prowincje bowiem nawet w XIII. i XIV. stól. żyły jeszcze życiem dawnego, udzielnego okresu, podczas gdy na Ukrainie naddnieprzańskiej życie to przerywały częste napady hord koczujących, a następnie ustrój społeczny przybrał tu odmienną formę, które wymazały z pamięci mieszkańców Ukrainy pieśni minionej epoki.

Następny, kozacki okres ukraińskiej historji i odpowiadające mu ruskie noszą odrębną cechę. „Od XVI stól. począwszy, powiadają wydawcy, zaczyna się na Ukrainie, zostającej pod panowaniem państwa litewsko-polskiego, proces oddzielania się od mas ludu wyższych sfer, które się polonizują. Równocześnie w skutek pojawienia się Turków na wybrzeżu Czarnego morza (od r. 1475) wzmaga się siła Tatarów, którzy przedtem usiłowaniami litewsko-ruskich książąt i ruskiej kolonizacji, wyparci byli do Krymu i do ujścia Dunaju. Z ludu (w XV. stól.) zaczyna się wydzielać powtórnie wojenny element, kozactwo, broniące kraj i cywilizację od napadów Tatarskich, a następnie stające w obronie swych praw, zagrożonych ze strony polskiego rządu i szlachty.

Nowy pierwiastek, kozactwo występuje do walki z Tatarami i Turkami w początkach wspólnie z niektórymi reprezentami bojarsko-książęcego stanu; w walce zaś z polską arystokracją łączy się z ruskiem duchowieństwem, niezadowolonem z Unii i z masami ludu, zachowującego się wrogo w obec ustroju pańszczyźnianego i szlachecko-żydowskiej gospodarki. Ta skomplikowana i wielostronna walka kozactwa ruskiego z wrogimi mu elementami doprowadza do poddania się części Rusi państwu moskiewskiemu (w r. 1654). Po przekształceniu tego ostatniego w rosyjskie cesarstwo kozactwo prowadzi z jednej strony, (samodzielnie lub wspólnie z siłami rosyjskiemi) walkę przeciwko polskiej arystokracji i katolickiemu duchowieństwu, z drugiej strony zaczyna walkę z centralnym państwowym ustrojem. Równocześnie zaś powołują je do służby wojskowej carstwa na północnym-zachodzie i południowym wschodzie państwa. Wśród takich okoliczności, w których znajdowała się znaczna część Rusi, a szczególniej Ukraina naddnieprzańska, od XVI do połowy XVIII stól. rozwinęła się obfita:

P o e z j a o k r e s u k o z a c k i e g o, między utworami której odznaczają się właściwe historyczne pieśni, t. z. dumy. Powstaje także osobna klasa śpiewaków jeśli nie twórców tych dum t. z. k o b z a r z y, ślepych zazwyczaj starców, śpiewających przy dźwiękach bandury (k o b z y), a utrzymujących formalną szkołę rzemiosła kobzarskiego. Niecierpiała ich polska szlachta i rząd rosyjski, osobliwie kiedy pod koniec XVIII wieku wprost zaczęli śpiewać: N e m a w ś w i t i p r a w d y — nie ma dla ukraińskiego ludu prawdy pod panowaniem rosyjskiem!...

Wśród nader ciężkich dla Ukrainy warunków powstają jej dumy. Krym zamienia się w jeden z głównych rynków sprzedaży niewolników całego świata, zaopatrując ukraińskimi niewolnikami Turcję, a po części Azję i Afrykę. To też nader obfite pieśni z tego okresu odznaczają się wielką rzewnością z odcieniem chrześcijańskiej rezygnacji i wykończeniem pod względem formy, podczas gdy pieśni tego samego okresu, opiewające walkę z Polakami nie są wolne od pewnego rodzaju cynizmu i szyderstwa z Polaków i żydów.

Tatarski i turecki okres rozpoczyna się krótkiemi jakby w przestrachu lub w pośpiechu ułożonemi pieśniami o napadach Tatarów na Ruś, o zabraniu w niewolę dziewcząt i o ciężkim ich losie w drodze do Krymu. Za niemi idą t. z. newolnyćki psalmy, jęk boleści ruskich jeńców w niewoli tureckiej z prośbą do wszystkich, a osobliwie do ziomków i krewnych o pomoc. Pieśni te opiewają poświęcenie kochanki, oddającej ostatni, krwawo zapracowany grosz, byle tylko jak najrychlej wykupić miłego, a narzekają na rodzeństwo, które jednak najwięcej dbało o wykupywanie jeńców. Apostrofa do chrześcijańskich państw przebrzmiewała bez skutku. Regularność w uwalnianiu ruskich jeńców datuje się dopiero od czasu, kiedy z pośród ruskiej ludności wyłonił się zastęp kozactwa, ochraniającego swą ziemię, pracę i cywilizację od napadów tatarskich i ułatwiającego posuwanie się ukraińskiej kolonizacji w południowym kierunku. Kozactwo pośredniczy też w wymianie ukraińskich i w ogóle wschodnio-europejskich jeńców na tatarskich i tureckich. Powszechną litość i ofiarność dla niewolników chrześcijańskich wzbudzają kobzarze przez śpiewanie „newolnyćkich psalmów". Jeszcze bardziej wykończonemi są pieśni przedstawiające ucieczkę ruskich jeńców z niewoli tureckiej, a odznaczające się realizmem i tragicznością. Dumy o tej niewoli, są najdłuższe ze wszystkich ukraińskich pieśni i zawierają mnóstwo szczegółów, jednorodnych z opisem tureckiej niewoli w „Don Kiszocie" Serwantesa.

Odrębne miejsce zajmuje duma o Aleksym Popowiczu dowodząca, że ogół kozactwa ukraińskiego oburzał się na nadużywanie wolności w celach anti-socjalnych i anti-religijnych i że właściwym celem kozactwa była obrona interesów ukraińskiej ludności, co potwierdza cała jego historja.

Z wyjątkiem dumy o pojedynku „kozaka Hołoty z Tatarynom", żartującej z głupoty i zniewieściałości baszy-bużuka i z nędznego ubrania kozactwa — wszystkie inne historyczne pieśni tatarsko-tureckiego okresu mają charakter poważny.

Przechodząc do pieśni kozackiego okresu o walce z Polakami, winniśmy przedewszystkiem zaznaczyć charakterystyczny fakt, że lud ruski nie zachował żadnej pieśni o początku tej walki, rozpoczętej w celu wywalczenia dla rejestrowych kozaków praw szlacheckich. Pp. Antonowicz i Dragomanow wykazali, że pieśni odnośne, drukowane w dawniejszych zbiorach sfabrykowała kozakofilska inteligencja ukraińska XVIII i XIX stul. Być może, że kozacy układali o tych sprawach pieśni, lecz lud ruski nie uznał ich za swoje. Pamięć ludu ruskiego przechowała nam dużo historycznych pieśni dopiero z czasów Chmielnickiego, kiedy masy ludu ruskiego na obu stronach Dniepru powstają przeciw polskiej szlachcie i szlachecko-żydowskiej gospodarce na Ukrainie. Stoją tu na pierwszym planie sprawy powszechno-ludowe, socjalno-ekonomiczne, z któremi łączą się interesa narodowe (słabiej) i religijne (silniej). Pieśni tego okresu przybierają przeważnie powszechno-ludową formę pieśni — śpiewanej bez muzyki. Wysławiają one Perebyjnosa i Neczaja, jako najenergiczniejszych obrońców interesów włościan za czasów Chmielnickiego. W powszechno-ludowej więc formie pieśń ta dotarła aż do Galicji, gdzie zresztą prawie nie ma historycznych pieśni z okresu kozackiego.

W pieśniach z czasów walki z Polakami narzeka lud ukraiński szczególnie na nieludzkie obchodzenie się i wyzyskiwanie przez polskie duchowieństwo, szlachtą i prawą jej ręką — żydów-arendarzy, to też ideałem tych pieśni jest oczyszczenie Ukrainy od panów, żydów i unji. Rusini trzymali się względem Polaków tej jedynej zasady: Majete sobi swoju Polszczu, a nam nasza

ustrój kozacki. Wtedy to powstaje nie chłopska już, lecz kobzarska i kozacka, pieśń „n e m a w ś w i t i p r a w d y“! z żalami na sąd, gdzie wygrywa tylko bogacz i szachraj, na obchodzenie się z biednymi. W ogóle prawda i krzywda mają w ukraińskich pieśniach przeważnie charakter socjalny, kiedy w wielkoruskich warjantach mają one prawie wyłącznie charakter religijny.

Lud ruski nie wspomina o Zaporożu jako o rozbójniczem gnieździe, za jakie je mają niektórzy polscy i moskiewscy historycy, za stan wyłącznie wojskowy, ale mówi o niem głównie jako o społeczności wolnej, gospodarczej, która przyświecała, a po części i teraz jeszcze przyświeca wolności całego ukraińskiego narodu. Lud dobrze pamięta, że caryca Katarzyna, senatorowie i jenerałowie rosyjscy zrujnowali dla własnej korzyści Sicz zroszoną krwią kozactwa

Czuł lud nawet w XVIII. stól. swą odrębność od Moskwy i Polski, a idea tej narodowej odrębności nie zatarła się pośród ludu ruskiego dotychczas, mimo to, że ani w Polsce, ani w Moskwie nie była podtrzymywaną przez odnośny państwowy ustrój ani rozwijaną przez literaturę w ludowym języku prawie aż do czasu wystąpienia Szewczenki.

Ukraińskie pieśni okresu moskiewskiego z XVIII wieku podają analizę ciężkiego dla ludu socjalno-ekonomicznego ustroju szczegółowiej, niż to miało miejsce w pieśniach o walce z Polakami, natomiast mniej w nich politycznej syntezy. Sama forma jest krótszą, gorszą i bardziej pogmatwaną, jak gdyby odpowiadała rozszarpaniu Ukrainy między ościenne państwa i pogmatwaniu politycznych pojęć ludu! „Pieśni z XVI stól., o walce jego z Tatarami i Turkami, zachowały się daleko lepiej. Pochodzi to stąd, że Ruś pozostawała prawie cała pod jednem państwem, a ludność jej wówczas najmniej podzieloną była na klasy, szlachta nie była jeszcze spolszczoną, a mieszczanie mówili językiem ludu i kozaków. Wszystkich zarówno zajmowało zdarzenie takiej doniosłości jak walka z Tatarami i Turkami, a więc i pieśni o takiem zdarzeniu rozchodziły się po całym kraju i głęboko wrażały się w pamięć wszystkich warstw. Już w pieśniach XVII. stul. opiewających walkę z Polakami — mniej tej całości, a jeszcze mniej w pieśniach ułożonych w epoce, kiedy Ukraina podzieloną została pomiędzy Moskwą, Polską i Turcją, kiedy oświeceńsi Rusini spolszczyli się, miasta zaś napełniły się żydami i zupełnie oddzieliły od włościaństwa, po drugiej zaś stronie Ukrainy zaczęto się moskwicić; kiedy po zdradzie Mazepy stare Zaporoże zostało zrujnowane, a Sicz przeniesiona do Krymu. Nie tylko mieszkańcy Wołynia lub Galicji, ale także Hetmańszczyzny żyli w innych, po największej części ciężkich warunkach, nie zawsze wiedzieli o sprawach innych Rusinów, nie zawsze takowe rozumieli, a zatem i pieśni nie mogły się swobodnie rozszerzać po całej Ukrainie“.

Lecz mimo to wszystko wzmaga się bogactwo ukraińskich pieśni z tego smutnego okresu od końca XVIII stól. Stają się one bardziej jednolitemi i bardziej do siebie podobnemi na całej Rusi, a pochodzi to stąd, że jakkolwiek naród ruski, podzielony między Rosją i Austrją, dostał się do reszty w poddaństwo pańszczyźniane i wojskowe, to jednak stan ten jest jednakowy na całej Rusi.

Kiedy kozactwo ukraińskie dogorywa na lewym brzegu Dniepru i na Zaporożu, odbywa się na prawym brzegu Dniepru i w Galicji pod panowaniem polskiem dalszy ciąg religijnych prześladowań prawosławnych Rusinów, dochodzący do kulminacyjnego punktu za czasów konfederacji Barskiej. Równolegle z tym uciskiem wzmaga się tu ustrój pańszczyźniany szlachecko-żydowskiej gospodarki, Lud ruski zamyśla znowu obalić ten ustrój przy pomocy o p r y s z k ó w i h a j d a m a k ó w. Pierwsi łączą się z rozbójnikami w gó-

Ukraina nechaj zostanet'sia. Chmielnicki sam powiadał do szlachty: „wyrwę cały naród ruski z polskiej niewoli... pójdę bić się za prawosławną wiarę. Całe pospólstwo po Lublin i Kraków pomoże mi... Dość z nas będzie Ukrainy, Wołynia i Podola, dostatecznie mam wygód i bogactwa w mym kraju i w mojem księstwie, rozciągającem się po Lwów i Halicz... Stanąwszy na Wiśle, powiem reszcie Lachów: siedźcie, milczcie, Lachy! Tamtedy napędzę wszystkich zdzierców i książąt, a jeśli będą broili i za Wisłą, to i tam ich znajdę. Na całej Ukrainie nie zostanie ani jednego magnata, ani jednego żyda“.

Lud ruski wraz z kozactwem za czasów Chmielnickiego żywił myśl o niezawisłem rusko-ukraińskiem państwie. Fatalizm jednak położenia Ukrainy pośród państw: polskiego, moskiewskiego i tureckiego doprowadził naród ruski do zupełnej pod względem politycznym obojętności, tak że nie posiada on żadnej pieśni o tak ważnym fakcie, jak przejście Ukrainy z pod panowania polskiego pod moskiewskie. Upadek ducha u Chmielnickiego, kozaków i ludu widać już z dumy o śmierci Chmielnickiego...

Współczesne wiersze inteligencji świeckiej zgadzają się w niektórych motywach z ludowemi pieśniami, lecz wieje z nich duch inny: kozacki, szlachecko-demokratyczny z odcieniem rojalistycznym: panującem tu uczuciem jest antypatja ku magnatom polskim, widoczna w wierszach na cześć hetmana Sahajdacznego, ułożonych przez duchownego i z dramatu „Łaska Boska, która Ukrainę od nieznośnych lackich krzywd przez Bohdana, sławnego wojsk zaporożskich hetmana, wyzwoliła“. Na pierwszym planie stoją tu sprawy religijne, obok samowiedzy narodowej odrębności.

Następne tomy „Politycznych pieśni ludu ukraińskiego“, wydane przez p. Dragomanowa, zawierają poetyczne utwory z ostatnich lat kozactwa ukraińskiego.

Z pieśni tych widać, że lud ruski stał po stronie swego ulubieńca, kozaka Palija przeciw Mazepie, lecz nie dlatego tylko, że ten ostatni zdradził cara, a połączył się z Leszczyńskim i Karolem XII, ale głównie dlatego, że Mazepa był przedstawicielem arystokratycznego kozackiego elementu, Palij zaś — demokratycznego. Osobliwie bolało lud ruski uwięzienie tego ostatniego i wysłanie go na Sybir za przypisywaną mu chęć oderwania Hetmańszczyzny od Moskwy do Polski. Narzeka następnie lud na ruinę starej Siczy, sympatyzując z nią, pomimo że Sicz zostawała wówczas pod protekcją krymską i że ją rząd moskiewski wyklinał, jako buntowniczą. Lud po upadku Mazepy, bynajmniej nie był zadowolony z carskich porządków w Hetmańszczyźnie i Słobidczynie.

Pieśń ukraińska narzeka na ograbianie przez wojsko rosyjskie, na nadmierną pracę na południowo-wschodniej granicy państwa rosyjskiego (1716—1739) i na cięższą jeszcze pracę kozaków przy kanalizacji gruntu pod Petersburg (1721—1729; 1741—1744), na dalekie marsze kozaków, którzy musieli ciągnąć za rosyjską armją do Krymu, Oczakowa, Chocima, Romunji, i Prus (1757—1762).

Kiedy w XVIII stól. w Hetmańszczyźnie starszyzna pod wpływem demoralizacji płynącej z Moskwy, w celu pozyskania kozaków przeciw ludowi, zaczęła brać łapówki i załatwiać sądowe sprawy na niekorzyść kozaków, odbierać im grunta, lasy, młyny i używać ich jako swych prywatnych robotników, wtedy między kozakami i ludem wzmogło się niezadowolenie do tego stopnia, że car niby dla uspokojenia, zaprowadził w r. 1722 rodzaj wyższego trybunału nad hetmanem i generalnym sądem — t. zw. małorosyjskie kollegium. Stało się ono wkrótce samo nawskróś sprzedajnem i skasowało do reszty wolniejszy

rach karpackich, ostatni z Zaporożem, które do końca uważało za swój święty obowiązek walczyć za wiarę i wolność. Protest ludu ruskiego wyraża się ostatecznie w powstaniu z r. 1768, znanem pod nazwą rzezi Humańskiej czyli Koljiwszczyzny. Wśród takich okoliczności, trwających do ostatecznego podziału Polski, a z nią i Ukrainy między rosyjskie a austro-węgierskie państwo, powstają Pieśni okresu hajdamackiego.

W pieśniach o końcu kozactwa nie masz śladu jakiegoś żalu po Hetmańszczyźnie, zniesionej przez rząd rosyjski w r. 1767, ani po Słobidczynie w rok później zniesionej. Natomiast zachowało się o Zaporożu więcej niż 70, i to sympatycznych pieśni dla Siczy. Do 5 tysięcy Zaporożców uciekło po zniszczeniu Siczy w roku 1775 do Turcji. Na prośby carowej Katarzyny, ażeby powrócili do Rosji, Zaporożcy odpowiadali:

„Oj, breszesz, breszesz, prewrażyj Moskalu,
Seż ty choczesz obmanyty (oszukać),
Jak pidemo u twoju zemlu,
Budesz nam łoby hołyty (brać do wojska)

„Oj, bułoż nas, sudarynia,
Buło ne duryty:
Buło stepiw i roskoszïw
Zaporożskych ne diłyty.

Pieśni o ruinie Siczy są ostatniemi, w których objawia się myśl ruskiego ludu w Rosji o jakiejkolwiek samodzielności Ukraińców pod panowaniem Rosji Turcji i Polski! Myśl tę podtrzymywali głównie Zaporożcy, z upadkiem ich ginie i ona!

Pieśni o zniesieniu pańszczyzny są jedyną carofilską poezją ludową, natomiast mamy bez liku anti-carskich pieśni zwłaszcza przeciw wojskowej służbie. Ukraińcy wzdrygają się przed rozlewem krwi ludzkiej, a tęsknią za domem i spokojnem rolniczem zajęciem. Pieśni te należą do najczulszych i najbardziej ludzkich męzkich pieśni. W ogóle jeżeli pieśń ułożona jest w czystym, ludowym języku, to zawsze pełną jest ludzkich i wolnych myśli, jeśli zaś forma jej jest skażoną naleciałościami niemieckiemi, rosyjskiemi lub polskiemi, to wdziera się do tej pieśni duch niewolniczy i rozpusta.

Pojawiają się też między ludem ruskim i pieśni w sprawach socjalnych. W jednej z nich np. mówi się:

Oj, hospody myłosernyj,
Jak tia doprosyty:
Ludej mnoho, pola trochy,
Z czoho budem żyty?
Nam zaribky ne pomożut'...

Inna pieśń przeklina pracę na cudzem polu i służbę, a jeszcze inna nazywa pracę przy fabryce niewolą. Jest też wiele pieśni o wyzyskiwaniu ludu przez różne warstwy, a szczególnie przez żydów.

Polityczna granica między Rosją a Austro-Węgrami istnieje znacznie więcej dla ukraińskiej inteligencji, niż dla ludu. Włościanie ruscy, — powiada Dragomanow, — po obu stronach kordonu nie tylko żyją jednem życiem, spokrewniają się, chodzą przez granicę na zarobek, ale także wymieniają produkta życia moralnego. Tak np. pieśni o prawie pańszczyźnianem, o służbie w wojsku, emnancypacji włościan i t. p. są po obu stronach granicy prawie jednakowe,

mimo to, że pańszczyźniane prawo zwolniono w Austrji jeszcze z końcem XVIII stól., a zniesiono już 1848 r.; że wojskowy ustrój w obu państwach zawsze był różny i że austryjaccy i rosyjscy Ukraińcy nigdy nie znali wspólnej wojskowej służby. Rosyjski rząd pojął znaczenie tej moralnej wymiany, kiedy po ruchach włościan w Austrji w r. 1846—48 zabronił wstępu do Rosji wyrobnikom austrjackim, rozszerzającym tu anti-szlacheckie ideje. Do dziś krzewią galicyjscy wyrobnicy w Rosji anti-paszportowe, w ogóle swobodniejsze ideje polityczne i narodowe; a z drugiej strony agraryjne ruchy w rosyjskiej Ukrainie z r. 1862 do 1863, po których nastąpiły pewne ulgi, wprowadzone przez rząd w r. 1863 do 1865, odbijają się i w Galicji, budząc u włościan myśl o konieczności zmian w stosunkach rolniczych".

Przedstawiliśmy tu, w ogólnych zarysach wyniki studjów pp. Antonowicza i Dragomanowa nad społeczną stroną ukraińskich pieśni.

Bolesne uczucia budzi w nas dola ruskiego ludu odbijająca się ponurem echem w tych pieśniach. Z jednej strony, wystawiony na ciągłe napady koczujących hord azjatyckich, z drugiej narażony na ciągłe odpadanie inteligencji na korzyść panujących narodowości, lud ruski po upadku jedynego swego wiernego przyjaciela — Siczy, musi ostatecznie nagiąć szyję pod wstrętne mu jarzmo. Polityczny los jego rozbijał się przeważnie o brak inteligencji, którąby zaspakajała jego pragnienia polityczno-socjalnej natury.

Słówko jeszcze o samem wydawnictwie. Pracę pp. Antonowicza i Dragomanowa ocenił przychylnie świat uczony, a petersburska akademja umiejętności odznaczyła pierwsze dwa tomy zaszczytną nagrodą.

Tylko u publiczności polskiej nie znalazło to dzieło należytego poparcia, ani uznania, na jakie ze wszech miar zasługuje.

Kronika spółczesna.

Echa galicyjskie.

Marzec.

Z czynności tegorocznego zgromadzenia „Rady ogólnej gal. towarzystwa rolniczego" na największą uwagę zasługuje ukonstytuowanie „krajowego towarzystwa ochrony własności ziemskiej". Nie od rzeczy więc będzie przyjrzeć się bliżej tym bodźcom, co kierowały założycielami — tembardziej, że sami je zaznaczyli wyraźnie w swej „odezwie".

Ogólnie znanem jest rozpaczliwe położenie własności dworskiej w kraju naszym; właściciel ziemi zaledwie 3 procent może wydobyć z jej uprawy; ponieważ zaś co najmniej połowa wartości dóbr jest obdłużona, ponieważ wreszcie procent od długów hypotecznych wynosi aż 6 od sta, więc co posiadacz zyska jedną ręką, drugą tytułem procentów oddać musi swym wierzycielom, a nie mając żadnego dochodu tem samem zmuszonym jest do zaciągania nowych długów i to nie na żadną melioracją gospodarską, lecz jedynie w celu wyrównania budżetu rodzinnego. Nie dość na tem. Zamorska konkurencja ziemiopłodowa zagraża na przyszłość jeszcze większą klęską, jeszcze potężniejszem obniżeniem

renty ziemskiej. Pozostaje jeden jedyny środek — oto wyprzedaż ziemi. Jeśli przeciętnie majątek jest np. obdłużony do 50 procent wartości, wtedy po sprzedaży właścicielowi pozostanie połowa wartości szacunkowej z której będzie mógł pobierać spokojnie odsetki. Byłoby to nader wygodną rzeczą, gdyby zapłacono za grunt tę samą cenę co ongi płacono za grunt, tę samą cenę co ongi płacono przy wyższej stopie renty ziemskiej; o której myśli Towarzystwo rolnicze. Lecz gdzież szukać tak naiwnego kupca, któryby po pierwsze chciał płacić za ziemię po dawnej cenie, powtóre zaś kupował grunta w obecnej tak zachmurzonej sytuacji ekonomicznej? Chyba nie wśród kapitalistów miejskich zbyt ostrożnych w obec wieści o zbożu zamorskiem — i zresztą zbyt dobrze umiejących rachować by za ziemię płacić dawną cenę mimo zniżkę renty ziemskiej. A jednak Towarzystwu rolniczemu wypadało rozwiązać zadanie w ten sposób by i nabywcę znaleść i przytem takiego, któryby zapłacił po cenie wyższej, niż jaka odpowiada tegoczesnym stosunkom rynku rolnego.

Oczywiście, rozstrzygnięcie powyższej kwestji w sposób pożądany przez Towarzystwo rolnicze jest niemożebne na powyższym rynku, gdzie jedyny czynnik — to zimna rozwaga kupiecka. Lecz na szczęście istnieje w kraju naszym warstwa ludzi, nader gorąco przywiązana do czarnej gleby, nie umiejąca na chłodno wyliczać na palcach korzyści, lecz działająca ilekroć się nadarza sposobność nabycia ziemi pod naciskiem nieświadomego, niekrytycznego, lecz nie mniej silnego i gorącego uczucia. O warstwie tej zazwyczaj głucho i pusto wśród braci starszej; jedynie słychać narzekanie na jej głupotę i ciemnotę, na to że piją — lecz nigdy nie zajrzy się głębiej, dlaczego to kwitnie owo pijaństwo i ciemnota. Teraz, przy konstytuowaniu Towarzystwa ochrony ziemskiej, przypomniano ją sobie dzięki grozie bankructwa. Jedynym ratunkiem, powiada Odezwa, byłaby możność sprzedaży tej części ziemi, której wartość wyrównywa długom i spłacenie tychże, a wtedy pozostała i od długów uwolniona ziemia, dawałaby właścicielowi dochód, którego obecnie nie ma. Żeby jednak módz ten ratunek zastosować, to przedewszystkiem potrzeba znaleść nabywcę, o którego obecnie niezmiernie jest trudno.

Atoli tę trudność możnaby rozwiązać i w jaki sposób, o tem wiemy — „najodpowiedniejszym nabywcą ziemi tak tu jak i wszędzie jest bez zaprzeczenia włościanin“. I przypomniano sobie, że lud wędruje z kraju het, het za morze. Rozrzewniło się przeto serce piszących odezwę — ale czyż dlatego, że część naszego ludu idzie tułać się po obczyźnie. Nie! serce uderzyło przed względami bardziej konkretnej natury. Albowiem „wstrzymać tę emigrację własnego narodowego żywiołu, wstrzymać wywożone przez nią z kraju k a p i t a ł y, umożliwić temu ludowi nabywanie ziemi w mniejszych ilościach, zachować dla kraju tracony dotychczas żywioł p r a c o w i t y, b r a k u j ą c y w wielu miejscowościach we wschodniej Galicji (a więc powstrzymać podwyżkę płacy — Red.), stworzyć potrzebnego w kraju drobnego dzierżawcę, znaleść tem samem p r o d u c e n t a i k o n s u m e n t a... i o c h r o n i ć j e d n o c z e ś n i e w i ę k s z y c h w ł a ś c i c i e l i od o s t a t e c z n e j z a g ł a d y, to jest naglącem zadaniem“... O naturze motywów świadczy i ta okoliczność, iż założyciele Towarzystwa obrony własności ziemskiej, nie zadali nawet sobie pracy nad zbadaniem owoców owej parcelacji i wytwarzania ferm dla ludu. Chcą powstrzymać emigrację ludu naszego za morze? emigrację zaiste niesłychaną, jeśli możemy wierzyć sprawozdaniu, że „w Krośnieńskim i Jasielskim gorączka a raczej epidemja emigracyjna gra-suje straszliwie; nie ma już prawie wsi, w którejby bodaj kilku wychodźców nie liczono — niektórzy od-

bywali już podróż do Ameryki kilkakrotnie, wracali po rodzinę i zabrawszy ją ze sobą wynieśli się na stałe — lud tamtejszy zna Amerykę lepiej niż kraj własny!“

Lecz czyż zadali sobie pytanie czemu lud ów emigruje na obczyznę? Czy przyjrzeli się choćby datom statystycznym, któreby ich poinformowały, jacy włościanie wychodzą za morze? Gdyby ten trud sobie zadali, ujrzeliby, że emigrują włościanie zamożniejsi, którzy jeszcze grunta posiadają — a więc bodźcem ku wychodźtwu nie tylko jest brak gruntów. Tu jakieś inne kryją się powody, niewyśledzenie których ze strony twórców „Odezwy“ tem więcej zasługuje na uwagę, że - licząc na emigrantów jako na przyszłych nabywców gruntów dworskich — nie zbadali, czy wystawienie jedno obszarów dworskich na sprzedaż zatrzyma wychodźców... Założyciele Towarzystwa nowego nie poddali nawet dyskusji, kto i za jakie pieniądze kupować będzie grunta! Wychodźca nie — bo on właśnie od gruntu w Galicji i związanych z nim powinności umyka; najmita wiejski również nie, bo nie ma za co... Jeśli oto nie troszczą się założyciele towarzystwa, nie dziwota że nie zwrócili uwagi na inne pytanie. Czy chcąc nawet polepszyć byt chłopstwa, polepszą go stale przez parcelację indywidualistyczną, już w drugiem pokoleniu sprowadzającą wskutek działów wszystkie stosunki obecnej chwili? Wprawdzie jest na to recepta gotowa—majoraty chłopskie. Lecz czyż pomyślano, że majoraty również nie pomagą, bo nie dość, że w łono rodziny chłopskiej wnoszą rozterkę i krom jednego syna resztę rodzeństwa puszczają z torbą po świecie, ale nadto utrzymać się nie mogą w obec większej wytwórczości folwarków lub ferm zamorskich.

Ruskie dziennikarstwo gwałtownie uderzyło na projektowane Towarzystwo, podsuwając mu, sądzimy nie bez słuszności, cel polityczny, mianowicie kolonizowanie Rusi Mazurami. Nie mówiąc już o głosach prasy moskalofilskiej, konstatujemy tylko, że nawet „Diło“ nie ma dość słów na potępienie ukrytych celów projektu. Przy tej sposobności przytacza „Diło“ odezwę rozesłaną przez pewnego właściciela dóbr w Kołemyjskiem, do wszytskich gmin mazurskich. Właściciel ten zawiadamia gminy, iż zamierza rozparcelować 1.000 morgów pola i lasu i sprzedawać takowe w parcelach po 12 morgów wyłącznie włościanom narodowości polskiej po 60 złr za morg. „Diło“ zapytuje z tego powodu Polaków o ile też postępowanie ich na Rusi, lepszem jest od postępowania rządu pruskiego w Poznańskiem. My z naszego punktu widzenia, przyłączamy się w zupełności do protestów ruskiej prasy, widząc w takiej kolonizacji krzyczącą niesprawiedliwość, a tem samem zarzewie nieskończonego rozgoryczenia i nienawiści na przyszłość.

* *
*

Rugi poznańskie bardzo przykrem odbiły się echem w tarnowskiem, w niektórych wsiach powiatu pilzneńskiego. Z „wygnańców“ zrobił lud tamtejszy „powstańców“, i raptem wyrosła na tle tego motywu cała historja, że wybuchło powstanie, że nad granicą rosyjską stoi 10.000 powstańców, a z tej strony Polacy kręcą się po lasach. Chłopi wzięli się do kos i cepów, pozaciągali we wsiach warty, zrobili nawet w lasach obławę. Władza polityczna dowiedziawszy się o tem improwizowanem powtórzeniu niektórych scen z tragedji 1846 roku, w sam czas energicznie wdała się w tę sprawę i zapobiegła dalszemu jej rozwowi, który mógł przybrać bardzo groźne rozmiary.

Oto w krótkich słowach treść alarmujących korespondencji, które z początkiem listopada ubiegłego roku pojawiły się były najpierw w krakowskiej

„Nowej Reformie“, a następnie i we wszystkich innych dziennikach krajowych. Od tego czasu skonstatowano pojawienie się owych pogłosek w kilku jeszcze miejscach, lubo zdaje się były one nacechowane bardziej nierozumieniem faktu, niż wrogim nastrojem. Ostatnią wiadomość spotkaliśmy jeszcze przed paru tygodniami w korespondencji z Żołyni do jednego z pism prowincjonalnych („Przegląd Rzeszowski“). Chociaż rzecz sama przeminie bez dalszych następstw, ma ona jednak dla naszego kraju niezmierne zasadnicze znaczenie jak głos jednej z tych elementarnych sił, które zapoznawane przez mądrych polityków i doktrynerów, bardzo często w decydującej chwili występują na widownię dziejową jako ów fatalny „Strich durch die Rechnung“, krzyżujący najlepiej ułożone plany i kombinacje.

Z tego też powodu pozwalamy sobie odświeżyć w pamięci naszego społeczeństwa ów ostrzegający sygnał z tarnowskiego i nawiązać do niego niektóre, zdaniem naszem, niemałoznaczące uwagi. Przedewszystkiem sama miejscowość, skąd rozległ się ów sygnał, wywołała u wielu ludzi wspomnienia pełne zgrozy; w tej bowiem samej miejscowości d. 18 lutego 1846 roku popłynęła pierwsza krew ofiar osławionej „chłopskiej kontrrewolucji“; tam pierwszy raz została sformułowaną wyraźnie alarmująca wieść: „Polaki powstają, będą chłopów rżnąć“! Ta wieść, która od owego d. 18 lutego piorunem rozbiegła się po całej okolicy, była sygnałem najokropniejszych mordów, o jakich Galicja pamięta; ta wieść następnie, gdy powstanie ucichło, nie zginęła, lecz w cichości zwolna rozpływała się po całej Galicji; ta sama wieść w r. 1861 wynurzała się znowu (słyszałem ją wówczas dzieckiem jeszcze będąc we wsi Jasienicy drohobyckiego powiatu), ta sama wieść i obecnie okazuje się jeszcze dla chłopów na tyle silną i groźną, że porusza ich do masowych wystąpień.

Lecz skądże wzięła się ta bezmyślna wieść? Co dało powód do jej powstania? Historycy ruchu 1846 r. nie mogli dotychczas znaleść jej źródła, a właściwie starali się nie szukać, uważając za rzecz najodpowiedniejszą zwalać całą winę na przeciwników tego obozu, do którego sami należeli. I tak historycy rządowi zwalają całą winę na jakichś mytologicznych komunistów, o których wówczas w nocy śnił staruszek Metternich; polscy pisarze zwalają winę na rząd austryjacki, na urlopników, żydów, jezuitów i Bóg wie kogo jeszcze, nawet na swoją własną demokrację. Bez kwestji, sprawa całego ruchu 1846 roku nie jest jeszcze na tyle udokumentowaną, żeby można krytycznie oświecić wszystkie jej tajemne korzenie i sprężyny. Lecz powstanie owego wierzenia ludowego, że „Polacy powstają i będą chłopów rżnąć“, o ile chodzi o bezpośrednie powody, da się zdaniem mojem dostatecznie wyjaśnić faktami, jakie zaszły w samych początkach ruchu: a więc zabójstwami szpiegów i denuncjantów w czasie poprzedzających konspiracji w Krakowie, Przemyślu i t. d., o których rząd kazał natychmiast z ambon ludowi ogłaszać; dalej okropnem zabójstwem burmistrza pilzneńskiego Markla, dokonanem przez Kapuścińskiego w nocy z dnia 17 na 18 lutego 1846. Zabójstwo to rzuciło ogromny popłoch na całą okolicę i można powiedzieć, że było hasłem ogólnego pochodu chłopów na dwory. Dalej nie należy zapominać, że tej samej nocy z dnia 17 na 18 lutego w wielu miejscach powstańcy strzelali do chłopów, chcących ich aresztować. W nocy z dnia 17 na 18 lutego, jakoteż dnia 18 lutego chłopi nigdzie nie rzucali się mordować panów, lecz tylko aresztowali ich i żywych odstawiali do Tarnowa; jedynie tam, gdzie panowie pierwsi zaczęli strzelać, zdarzały się zabójstwa. Dopiero gdy szeroko rozniosły się wieści o zabójstwie Markla i o strzelaniu panów

do chłopów, sformułowało się powyższe wierzenie ludowe; poczęła się z całą okropnością prowadzona „kontrrewolucja“.

Lecz zachodzi drugie, daleko aktualniejsze pytanie: jakie warunki historyczne mogły być przyczyną takiego stanu rzeczy; jak mogło podobne, iście potworne wierzenie ostać się w głowach ludu aż do dziś i zachować tak wiele motorycznej siły? Czyż sama możność takiego wierzenia nie znamionuje całkowitego braku poczucia narodowego u tego ludu, całkowitej nieufności do tych „naturalnych przewódców“, do tej „hierarchji społecznej“, o której tak dużo pięknego prawią nam „Czas“ i jemu podobne pisma? Parę lat temu w całej prasie galicyjsko-polskiej wielką kosternację wywołała wieść, że dwie gminy mazurskie, Łęka i Kobylany podały petycję do cara moskiewskiego, prosząc by im dopomógł przeciw tym samym „naturalnym przewódcom“; czyż petycja ta po części nie wypłynęła z tego samego źródła, co i pogłoski o powstańcach, zagrażających chłopom jakiemś okropnem niebezpieczeństwem? A jakież mogą być inne źródła tych wszystkich objawów, jeżeli nie bieda ekonomiczna i brak oświaty, brak poczucia narodowego?

Bieda ekonomiczna! Lecz gdzież to jej obecnie nie ma, kiedy nawet podolscy obywatele skarżą się na swym wiecu, że parę lat przywędrują do Lwowa boso lub w łyczanych łapciach! Z tem wszystkiem jednakże ekonomiczna bieda tych obywateli musi być cokolwiek odmienną od biedy Mazurów, u których kupienie jednego kożucha na całą rodzinę jest „imponującym momentem w życiu rodzinnem“; *) między którymi nie rozpoczęta jeszcze propaganda w tym kierunku, by mieszkanie ludzkie nie było zarazem stajnią bydlęcą, u których ostatnimi czasy, niewiedzieć skąd pojawiła się gorączkowa skłonność emigrowania de Ameryki“.**) A brak oświaty! Wszakżeż taki n. p. powiat pilzneński (wbrew twierdzeniu niektórych lwowskich dzienników) wcale nie należy do tych powiatów galicyjskich, w których największa panuje ciemnota!

Lecz inna rzecz: co czytają ci ludzie? Jaką to strawę duchową podaje im polska popularna literatura? Czy i o ile to przyczyniają się do rozbudzenia ich narodowego i ogólno ludzkiego poczucia owe kółka rolnicze i towarzystwa oświaty ludowej?

Doszliśmy tutaj do punktu, zdaniem naszem najbardziej bolesnego w historji rozwoju galicyjsko-polskiego społeczeństwa. Dokładne rozpatrzenie tego punktu, to przedmiot do całego studjum, przedmiot pierwszorzędnej wagi, przedmiot nie cierpiący zwłoki, gdyż jedynie sumienne jego zbadanie może się stać podwaliną pracy nad rdzenną przemianą intelektualnych stosunków naszego ludu. Jakie są punkty wyjścia w tej pracy, jak wysoką np. jest zdolność ludu do rozwinięcia w sobie poczucia narodowościowego, brak którego zaznaczaliśmy powyżej — o tem postaramy się pomówić obszernie inną razą.

* *
*

Nie zaciekając się w teoretyczne omawianie kwestji strejków, podajemy surowy materjał, charakteryzujący świeżo ukończone bezrobocie we Lwowie, skargi bowiem i żale robotnicze wypowiedziane przy takich sposobnościach, sposób prowadzenia sprawy, oraz odnoszenie się do niej władz i prasy stanowią bez-

*) Szujski, Polen und Ruttenen, str. 17.
**) Ibid str. 18.

sprzecznie jedną z najbardziej czytelnych i godnych uwagi kartek historji klasy robotniczej.

Bezrobocie urządzili robotnicy w fabryce stolarskiej braci Wczelaków we Lwowie. W fabryce tej pracuje około 80 robotników, z których odrazu około 60 przerwało pracę dnia 19 z. m. Dniem poprzód robotnicy po wspólnej naradzie wystosowali do właściciela fabryki pisemne żądanie obejmujące punkta następujące:

1) Czas pracy oznacza się na 10 godzin dziennie, od godziny 7 rano do 6 wieczór (z godziną przerwy od 12 do 1), to samo dotyczy i ruchu maszyn, względnie robotników pracujących przy maszynach. Gdyby się okazał brak roboty — maszyna ma być wstrzymaną, a wszelka robota ręcznie przez robotników ma być wykonaną.

2) Najniższy zarobek (lon) ma wynosić 9 złr. tygodniowo, zaś przy akordowej robocie konto zależy od dobrowolnej umowy między robotnikiem a przedsiębiorcą.

3) Niższe konto jak 9 złr. nie może mieć miejsca.

4) Lon i umówione konto ma być co soboty regularnie wypłacone.

5) Jeżeli więcej jak dwóch robotników pracuje przy jednej i tej samej robocie dopłaca się do całkowitej zgodzonej kwoty od każdego guldena 5 centów więcej.

6) Obopólny czas wymowy ustanawia się na dwa tygodnie. Wyjątek zależy od obopólnego porozumienia się.

7) Wszelkie rysunki i wyjaśnienia, jak robota ma być wykonana, mają być robotnikowi w należytym porządku oddane.

8) W każdym czasie ma być dostateczna ilość zdrowej i świeżej wody dostarczoną do warsztatów.

9) Lokal ma być czysto utrzymywany; trzy razy dziennie przewietrzany w czasie kiedy robotnicy nie pracują.

10) „Obchodzenie się z robotnikami — czeladnikami ma być ludzkie i przyzwoite; nie jak obecnie, że robotnika uważano w fabryce jako inwentarz żywy".

Dotychczas bowiem, co najmniej $^1/_3$ strejkujących robotników zarabiała niżej 5 złr., a niektórzy nawet niżej 3 złr. tygodniowo. Właściciele fabryki zażądali czterech dni do namysłu, robotnicy jednak widząc, że idzie tylko o przewlekczenie sprawy, postanowili nie czekając przerwać pracę. Między strejkującemi byli zarówno Polacy, jak też Rusini i Żydzi, a nadto przystąpiło do strejku 6 Niemców, których zarobek tygodniowy wynosił przeszło 15 złr., którzy więc dla siebie nic do zyskania nie mieli. Ledwie wieść o bezrobociu rozeszła się po mieście, robotnicy wszystkich zawodów poczęli zbierać składki dla strejkujących towarzyszy. W ciągu kilkunastu dni zebrano centowemi składkami około 250 złr.!

Cała prasa polska zarówno reakcyjna jak i t. zw. postępowa odrazu uderzyła gwałtownie na strejkujących. Postępowi dziennikarze odmawiając strejkującym poparcia, tłumaczyli się względami na rozwój przemysłu krajowego, reakcyjna zaś prasa winę strejku usiłowała zepchnąć na „agitatorów socjalistycznych", twierdząc że los robotników jest prawie do pozazdroszczenia!

Mimo to wytrwali robotnicy 10 dni, aż wreszcie fabrykańci oświadczyli gotowość do zgody. Po dwudniowych rokowaniach stanęło na tem, że żądania robotników od 4 do 9 zostały w zupełności uwzględnione, liczba godzin pracy ustanowiona została na $10^1/_2$ godziny dziennie, z czego kwandrans na śniadanie

a kwandrans na podwieczorek przyznano i wreszcie przyjęto 7 złr. jako minimum tygodniowej płacy. W czasie strejku władze wszelkimi środkami starały się skłonić robotników do podjęcia pracy. Komisarz przemysłowy magistratu groził na mocy ustawy o włóczęgostwie, odesłaniem robotników nielwowskich do miejsc urodzenia, a dwóch robotników poddanych rosyjskich nawet aresztowano. Dyrekcja policji ze swej strony ustanowiła silny patrol, który dzień i noc pilnował fabryki, jakkolwiek robotnicy zachowywali się najspokojniej. W kilka dni po rozpoczętym strejku, przyaresztowano 4 robotników pod zarzutem jakoby używali groźb wobec towarzyszy chcących powrócić do pracy. Jednego wypuszczono po 2 dniach, a 3 przytrzymano 5 dni w areszcie policyjnym, jakkolwiek ustawa austryjacka najwyraźniej orzeka, że więźniowie policyjni do 48 godzin albo muszą być uwolnieni, albo też do sądu oddani. Na szósty dzień dopiero aresztowani odstawieni zostali do sądu, który uwolnił ich po ukończeniu strejku. Również natychmiast po ugodzie uwolnieni zostali ci dwaj poddani rosyjscy, którzy mieli być odesłani „szupasem“.

Zachowanie robotników podczas całego trwania bezrobocia, było pod każdym względem wzorowe. Spokój i powaga z jaką sprawę traktowano, oraz solidarność ogółu robotników, świadczy o wielkiem już uspołecznieniu jednostek. Szczególnie korzystnie uderzyła nas okoliczność, że robotnicy znają dokładnie prawa jakie im z ustawy przysługują i umieją wyzyskać je w całej pełni.

Kronika niemiecka.

Programy warstw średnich.

(Dokończenie).

IV.

Mówiąc o ruchach rzemieślniczych, zatrzymywaliśmy się głównie na dziełach ks. Hitzego. Byłoby atoli błędnem mniemanie, że ruch ten nie wyłonił innych pisarzy i działaczy. Przeciwnie, śledząc za bieżącą literaturą niemiecką, znaleźć możemy mnóstwo dzieł większych i mniejszych w tym kierunku, a nawet perjodyczne wydawnictwa, zwłaszcza w Austrji i w południowych krajach cesarstwa niemieckiego *). To samo da się powiedzieć o praktycznej działalności, czego jaskrawym dowodem służą wnioski Ackermana w czasie przeszłej sesji parlamentu niemieckiego, oraz — że nic już nie powiemy o działalności izby ba-

*) W liczbie tej pierwsze miejsce bezwarunkowo należy się naukowemu miesięcznikowi Vogelsanga: „Oesterreichische Monatschrift“, następnie idą liczne tygodniki (berlińska Wahrheit, redagowana przez Grousillierra, wiedeński Volksfreund) i codzienne gazety, a zwłaszcza prawie wszystkie ludowe gazety w połud.-zachodnich Niemczech. Tu także należy berlińska gazeta Reichsbote Stöckera i wiedeński Vaterland. Wszystkie te dzienniki oprócz gorącej nienawiści ku liberalizmowi i t. d. wybitne noszą jeszcze piętno antysemityzmu; wyjątek stanowi miesięcznik Vogelsanga, zachowujący się dyplomatycznie. Co więcej, możemy powiedzieć, że wszystkie katolickie organa i dzienniki niemieckie, dotykające kwestji społecznej, z małymi wyjątkami, stoją na gruncie tendencji rzemieślniczo-stanowych.

warskiej — austryjacka nowela rzemieślnicza z dnia 15. marca 1883, przeprowadzona przez grono ludzi, ręka w rękę postępujących z ks. Hitzem.

Jednak za najważniejszą próbę trzeba uważać działalność niejakiego von Fachenbacha, za inicjatywą którego doszedł do skutku tak zwany „społeczno-zachowawczy związek“ (social-conservative Vereinigung) oraz zjazd „zachowawców społecznych“ w Frankfurcie w listopadzie 1880 r. Celem zjazdu było połączenie na polu społecznej działalności wszystkich odcieni chrystjanizmu, — katolików i protestantów w jednę zwartą i zsolidaryzowaną całość, by społem stawić czoło wspólnym przeciwnikom: manczesteryzmowi i wyrosłym zeń acz wrogim mu potęgom, oraz przywrócić społeczny porządek, zrujnowany przez maszynę i walkę kapitału z pracą. Punktem zaś wyjścia działalności winna być obrona zagrożonego w swej pozycji stanu średniego i propagowanie państwa stanowego, w którym to kierunku pierwszą próbą ma być wprowadzenie przymusowych cechów i zmiana praw spadkowych drobnej własności.

Posłuchajmy zresztą programu, jaki wypracowanym został na tym zjeździe. Przypisujemy mu nader wielkie znaczenie jako objawowi zbiorowej pracy. Społeczne swe credo zjazd sformułował w następujący sposób: „Jako źródło obecnej kwestji społecznej, uważamy brak chrystjanizmu wśród wszystkich warstw ludności. Co zaś do kwestji zatargu kapitału z pracą, żądamy sprawiedliwszego podziału ich plonu przez usunięcie przywilejów wielkiego kapitału i stanowcze zerwanie z zasadą wolnej i żadnych ograniczeń nie znającej konkurencji. „Co zaś do poszczególnych punktów, przedstawiają się one w następującym porządku:

1) Dla stanu włościańskiego. „Utrzymanie dzielnego stanu włościańskiego jest podstawą polityki zachowawczej, nic bowiem dla całości społecznej nie ma niebezpieczniejszego nad rozpłynięcie się stanów zawodowych — na walczące z sobą jednostki“ *). Pierwszem więc zadaniem zachowawców winno być uzyskanie odpowiedniego prawodawstwa, a więc: a) zniesienie rzymskiego prawa spadkowego (równych działów) i wprowadzenie innego odpowiedniejszego; b) przyjęcie przez państwo hypotek i zmiana długów na dług rentowy (tak zwana „zasada renty“ Rodbertusa).

2) Dla stanu rzemieślniczego. „Jedynie obowiązkowe związki cechowe mogą rzemiosło od upadku uchronić“. Obowiązkowemi zaś muszą być a) ponieważ państwo samo największy w tem posiada interes by porządek społeczny przywrócić, a zatem rozprzężone członki społeczne znowu zjednoczyć w zwarte ciała korporacyjne, b) ponieważ żywioły, które do upadku rzemiosła i wzrastającej ruiny rzemieślników się przyczyniły (magazyny i t. d.), nigdy nie poddadzą się z dobrej woli przepisom związku cechowego, c) ponieważ tylko przy tym warunku związki te wywiązać się mogą ze swego zadania względem członków, a ze swych obowiązków względem społeczeństwa. Bez trwałego i zabezpieczonego w swem bytowaniu stanu średniego, niepodobna przeprowadzić pojednania kapitału a pracy **). Związki cechowe (Innungen) w przeciwstawieniu do cechów (Zünfte) winny ogarnąć całe państwo, a nie rzemieślników jednego tylko miasta lub okolicy.

3) Dla stanu robotniczego. Wprowadzenie normalnego dnia roboczego, stosownie do natury odnośnych związków przemysłowych i cechowych. Przymusowe kasy ubezpieczenia na wypadek choroby i śmierci, nieszczęść i skaleczeń,

---

*) Curtius: Weg zum Frieden, str. 30, 31 passim.

**) Curtius, ibidem str. 33.

starości i niedołęztwa. Utrzymanie powagi niedzieli i świąt, usunięcie pracy kobiet, jako rujnującej ognisko rodzinne. Wreszcie 4) wprowadzenie wśród wielkiego przemysłu, przymusowych związków przemysłowych (tak zwanych „Gewerkschaften) na podobieństwo związków cechowych wśród rzemieślników.

Następnie idzie cały szereg oddzielnie stojących żądań ekonomicznych: równouprawnienie nieruchomej własności z kapitałem ruchomym co do taks i stempli (zaprowadzenie podatku giełdowego), zniesienie przywilejów bankowych, reforma banku państwowego, stworzenie kredytu dla rzemiosł na podstawie kas systemu Reiffeizeńskiego, wyłączne prawo na emisję papierów, upaństwowienie kolei żelaznych i instytucji asekuracyjnych, reforma taryfowa, wprowadzenie taks na mięso i chleb, zaprowadzenie państwowego biura robotniczego. Wreszcie co do strony politycznej: rewizja prawodawstwa co do praw względem wolności przesiedlania się i przenoszenia (ograniczenie) i ślubów cywilnych (zniesienie), zmniejszenie kosztów sądowych i usunięcie przywilejów stanu adwokackiego, i, co najważniejsza, oparcie systematu reprezentacyjnego na reprezentacji stanowej. Następnie idą drugorzędne wnioski, jak: ograniczenie wpływu żydów na sprawy publiczne (usunięcie ich od krzeseł sędziowskich, urzędów nauczycielskich i profesorskich, w zakładach publicznych i od prawa wyborczego). Punktem zaś wyjścia wszystkich celów i dążeń zjazdu frankfurckiego: a) stać chcemy w obronie monarchji i państwa, oraz prawa konstytucyjnego oddzielnych krajów i książąt niemieckich. b) dążymy do tego, by życie ludu ożywionem zostało znowu przez żywotną siłę chrystjanizmu *).

Zupełnie odosobniony wobec tych ruchów masowych — stoi Rudolf Meyer, autor „walki o wyzwolenie stanu czwartego". Niegdyś wraz z Rodbertusem reprezentował on najinteligentniejszą część pruskiego stronnictwa junkierskiego, następnie szedł ręka w rękę z feudalnem stronnictwem węgiersko-austryjackiem, o ile to ostatnie znalazło swój wyraz w wydawnictwach v. Vogelsanga, obecnie zaś mieszkając we Francji, przyjmuje czynny udział w wydawnictwie miesięcznika „Association catholique". Program, jego o wiele szerszy od innych, odznacza się też większą szczerością lubo te same założenia tkwią we wszystkich jego wywodach: „Jeżeliby ktoś zechciał określić moje stanowisko, mógłby powiedzieć, że jestem teoretykiem klas średnich, których egzystencję uważam za conditio sine qua non stateczności państwowej".**)

*) Co do zjazdu frankfurckiego, prócz wyżej cytowanego dzieła Curtiusa, patrz Denkschrift der social-conservativen Vereinigung Berlin 1881. Co do ruchu Fechenbachowskiego patrz też dzieła Ottona Glagau (der Bankerot des National-liberalismus, des Kulturkämpfes), Kraemera (die Ursachen der Socialdemokratie und ihre Überwindung) i wreszcie organ berliński „Wahrheit" (tygodnik walczący „przeciw liberalizmowi, materjalizmowi i żydowstwu"). Nadto z dzieł tego kierunku warto wymienić Todt'a: „Der radicale deutsche Socialismus und die christliche Gesellschaft".

**) „Heimstätte und andere Wirthschaftsgesetze" 1883 str. 464. Program Meyera w ogólnych zarysach da się sformułować w sposób następujący: sojusz właścicieli ziemskich i fabrykantów, rzemieślników i robotników w obec rentjerów i bankierów; w szczegółach żąda on: a) co do posiadaczy ziemskich: ulepszenia w prawodawstwie agrarnem (zniesienie równych działów i wolności wystawiania majątków ziemskich na licytację), zmniejszenia podatków, uporządkowania kredytu, zaprowadzania kolonji rolnych dla robotników, nie ustanawiania ceł agrarnych; b) co do przemysłowców: cechowej organizacji, wystarczających ceł opiekuńczych, organizacji kredytu, umowy handlowej i produkcyjnej, c) co do rzemieślników: autonomiczne cechy obowiązkowe; d) co do robotników: międzynarodowe prawodawstwo fabryczne, zniesienie pośrednich podatków na niezbędne do życia przedmioty, zupełna wolność słowa i asocjacji, wolne

Jeżeli więc wybraliśmy Hitzego jako typ, uczyniliśmy to jedynie z tego względu, że nigdzie tak jasno i wyraźnie nie zarysowały się tendencje ruchu zachowawczego, opierającego się na warstwach średnich; nigdzie też nie znalazły tak szerokiego i systematycznego uwzględnienia teoretyczne podstawy tego ruchu jak w dziele „Kapitał i praca". Autor za stosowne uznał oprzeć swe żądania na odpowiednio wyłożonej teorji wartości, a nadto na ogólno-historjozoficznym poglądzie na dzieje ludzkości. Wartość określa się nie tylko pracą; ten ostatni przypadek ma miejsce jedynie wśród tych produkcji, gdzie sumę wytworów człowiek może dowolnie zwiększać, a więc co najwyżej wśród przemysłu fabrycznego, lecz w rolnictwie ilość wytworu nie od człowieka zależy, gdyż urodzaj oraz wartość użytkowa przedmiotu jest rezultatem wielu czynników. A więc żądania wysnute z teorji Marksa nie mogą mieć zastosowania. Następnie, uwzględniając niedoskonałość natury ludzkiej, oraz podania kościelne, autor nie wierzy, by człowiek mógł stworzyć raj na ziemi i dójść do doskonałości moralnej. Jako działacz społeczny, Hitze wyżej stoi od drugiego wybitnego teoretyka tegoż kierunku prof. Lorenza Steina, o którym zresztą, jako i też o francuskich ruchach analogicznych (le Play) pomówimy inną razą.

V.

Jednem słowem, we wszystkich tych programach kwestja rzemieślnicza jako tako włączona została w szerszy programat ogólno-zachowawczy, celem którego jest wskrzeszenie wszelkiej powagi, czy to na polu stosunków politycznych, czy też religijnych lub rodzinnych, i walka przeciw niwelacyjnym dążnościom teraźniejszości. To wszystko osiągniętem być ma przez wprowadzenie państwa stanowego, opartego na przedstawicielstwie interesów ekonomicznych i będącego rozszerzeniem i zastosowaniem do obecnych narzędzi pracy dawnego ustroju feudalno-cechowego. Z tego też powodu jeden z odłamów reformatorów społecznych nosi miano „społecznej partji feudalnej". Miasto obecnego ogólnego wykształcenia wprowadzenie stanowo-profesyjnego; zamiast jednobarwnego i równoprawnego pojęcia: obywatel, wzniesienie różnobarwnej mozajki stanów; zamiast bezwzględnej wolności działań ekonomicznych — oddanie jednostki pod władzę korporacji stanowych i zawodowych; ograniczenie wolności przenoszenia się; wreszcie postanowienie i wcielenie we wszystkie dziedziny społecznego życia zasady powagi; spojenie duchem chrystjanizmu powstających korporacji — oto szereg drugorzędnych celów, które dopięte być mają przez zorganizowanie społeczeństwa stanowego. „Reorganizacja stanów zawodowych zda mi się być koniecznem założeniem dla wszelkich pojedyńczych celów", woła Hitze w przedmowie do swej „Kwintesencji". Różnica państwa stanowego — Berufsstaat, Ständischer Staat jak go zowią — od feudalno-cechowego określa się obecną fazą rozwoju ekonomicznego, wymagającego demokratyczniejszych i obszerniejszych więzów społecznych: miasto lokalno-miejskich cechów wstąpić powinny w życie ogólno-państwowe, a nawet międzynarodowe związki cechowe, związane spólną ustawą, spólnymi bankami państwowymi, zorganizowane w asocjacje spożywcze i wytwórcze; robotników całego państwa winny wiązać państwowe instytucje wszelkiego rodzaju ubezpieczeń, oraz izby polubowne, wśród których

---

nauczanie fachowe i ogólne; co do giełdy: surowe przepisy w obec stowarzyszeń akcyjnych i bankructw, prawa takież przeciw lichwie, proporcjonalny podatek od dochodów i zmiany posiadacza jak wśród własności nieruchomej, amortyzacja długu państwowego.

uczęstniczyliby pracodawcy i najmici. Odpowiednio też ma zorganizowanem być włościaństwo i inne stany.

Lecz ideał ten zdaniem jego zwolenników nie odrazu może zostać urzeczywistnionym. Przeciwnie trzeba długiego czasu, by go wywalczyć. Na dzisiaj więc wypada mieć jakiś inny bardziej oportunistyczny i rachujący się z warunkami — programat minimalny.

Winien zaś on mieć na względzie przedewszystkiem dwa punkty, a mianowicie: powstrzymanie i tamowanie tych tendencji pożycia społecznego, które działają burząco i niwelująco, a popieranie i opiekę nad temi, które stanowią punkt wyjścia dla przyszłego państwa stanowego. Taką potęgą destrukcyjną stanowi maszyna wraz ze swemi wymaganiami bezwzględnej wolności procederu i obiegu w sferze przedmiotowej, a bezwzględnego równouprawnienia i przesiedlania się wśród świata ludzkiego. Trzeba przeto nałożyć na tę wolność hamulec, w postaci podatków od kapitału i giełdy, ograniczenia wolności procederu i przesiedlania się, wreszcie koniecznem jest wystąpienie przeciw równouprawnieniu. Następnie maszyna wytworzyła antagonizm kapitału i pracy — wypada więc złagodzić tę walkę klasową przez zabezpieczenie robotników drogę prawodawstwa fabrycznego, które nie tylko polepszy byt, ograniczając konkurencję wśród najmitów, lecz położy koniec burzeniu rodziny; a w dalszym ciągu starać się o zmniejszenie niezadowolnienia robotników przez zorganizowanie obowiązkowych kas i ubezpieczeń. Wreszcie, co jest rzeczą najważniejszą, należy skierować ruch robotniczy na inną, niż dotychczasowa — drogę, a mianowicie na drogę żądań stanowych, nie zaś agitacji politycznej, na której rozwija się obecnie. Równolegle z powyższą działalnością stłumiającą, że się tak wyrazimy, popędy wrogie ukształtowaniu stanowemu, winna iść druga, pozytywnej natury, zasadzająca się na przyspieszaniu krystalizacji państwa zawodowego. Całokształt stosunków społecznych przedstawia się złożonym z różnych warstw o tendencjach odmiennych. Jedne z nich przodują destrukcyjnemu pochodowi maszyny lub na tle tegoż rozpoczynają nową pracę niwelacyjną, drugie porwane wbrew swej woli radeby skrystalizować się w stany zawodowe, lecz prąd je unosi i rozsadza. Wypada więc go ukrócić i wywalczyć swobodne dla krystalizacji pole. Warstwami, w których tendencjach leży owo osadzenie się, owa krystalizacja, warstwami, które powinny stanowić opokę dla dalszego budowania państwa zawodowego—są, zdaniem zachowawców, włościanie i rzemieślnicy. Cała więc zachowawcza polityka powinna być skierowaną ku ich utrzymaniu, i odgrodzeniu od fatalnych następstw manczesteryzmu: związać je, zjednoczyć w imię interesów zawodowych, wytworzyć z nich korporacje stanowe jest rzeczą łatwą, gdyż takowemi są tych stanów tendencye. A jeśli raz uda się to przeprowadzić, wówczas jak około kryształu soli osadza się roztwór, tak samo dokoła skrystalizowanego włościaństwa i klasy rzemieślniczej osadzą się inne klasy, by wytworzyć stanowy ustrój. Ocalenie więc tych dwóch warstw zanikających — to alfa i omega wszystkiego, to punkt wyjścia dla dalszej działalności, to utworzenie kadrów armji zachowawczej.

Atoli taki — całe społeczeństwo ogarniający programat nie jednego dnia powstał, a wyłonił się po wieloletnich próbach i usiłowaniach, drogą syntezy pojedyńczych dążności. Jako przykład wskażemy na żądanie przywrócenia dawnego prawa cechowego i obowiązkowych związków cechowych ze strony rzemieślników, żądanie rozlegające się wśród zjazdów rzemieślniczych, tak zwa-

nych „Handwerkertage“ *) Również żądania zniesienia rzymskiego prawa spadkowego odnośnie do drobnej własności ziemskiej dają się słyszeć od niepamiętnych czasów, a nawet przed wielu laty poczyniono odpowiednie kroki w Hanowerze i innych krajach niemieckich. Wreszcie oddawna już wskazywano wśród obozu zachowawczego konieczność oparcia się na klasie włościańsko-rzemieślniczej i bronienia jej interesów; ślady tego znachodzimy nawet w okresie 1848—1850. Lecz połączyć te rozstrzelone objawy i dążności, zjednoczyć wszystkie te warstwy i świadomie skierować do boju, oprzeć na ich interesach całą politykę zachowawczą i państwo stanowe postawić jako ostateczny cel wszystkich usiłowań — to wszystko zawdzięczać trzeba dopiero ostatniemu lat dziesiątkowi. Biskup Ketteler w Niemczech, jako działacz praktyczny, Lorenz Stejn w Austrji i le Play we Francji, jako teoretycy, winni być bezwarunkowo uznani za inicjatorów wspomnianego ruchu, o ile on występuje świadomie. Jądro jego stanowią obecnie katoliccy magnaci rodowi i katolickie duchowieństwo, dokoła których grupować się poczynają rozpierzchłe dotychczas głosy i pojedyncze usiłowania. Wskutek tego częste słyszeć można dysonanse; jedni np. kładą główny nacisk na stronę religijną i wskazują na nią jako na cement łączący oddzielne jednostki, wówczas gdy inni bynajmniej nie dbają o środki byleby swój cel osiągnąć. Hitze z tego powodu piorunuje na neomalthuzjanizm, tymczasem niejaki Stille zaleca propagować go wśród włościan, by tym sposobem uchronić włościańską posiadłość od podziałów! **) Wreszcie — i to stanowi charakterystyczne cechy całego ruchu — że mniej lub więcej otwarcie wywiesza on sztandar antisemityzmu.

Na tem kończymy niniejszy artykuł. Mamy nadzieję pomówić kiedykolwiek o analogicznych ruchach w innych krajach, dość do siebie ostatecznie zbliżonych. Na zakończenie polecamy czytelnikowi przestudjowanie głównego dzieła Hitzego: „Kapitału i Pracy“. Sądzimy, że je odczyta z zajęciem i pożytkiem, zapoznając się z różnymi prądami, nurtującymi najbardziej ekonomicznie rozwinięte kraje Europy. Każda warstwa społeczna występuje tu jasno, a jej tendencje i programaty zarysowują się w dobitnych i ostrych konturach; każdy wie do czego dąży i czego żąda, co leży w jego interesach i jak dojść do celu.

K.

*) Tak np. Na kongresie rzemieślniczym we Frankfurcie 1848, na zjeździe rzemieślniczym w Szczecinie 1850, w obradach założonego 1862 w Weimarze „związku niemieckich rzemieślników“ i na jego zjeździe w Frankfurcie nad Menem 1863 r. i w Kolonii 1864 itd.

**) Wreszcie, jako środek przeciw kwestji społecznej, po długich błąkaniach neomaltuzjanizm znalazł odpowiednie dla się pole! Zalecany przez Dra medycyny jako środek przeciw „żelaznemu prawu“ płacy zrobił zupełne fiasko; teraz wystąpił jako środek przeciw upadkowi włościan.

Wydawca i odpowiedzialny redaktor: **Stanisław Maniecki.**

Książki nadesłane do redakcji „Przeglądu Społecznego“.

„Nędza dzisiejsza i dzisiejsze przeludnienie.“ Przez Maksa Schippel'a. Warszawa, skład główny u Gebethnera i Wolffa, 1886, str. 189.

„Istoryczni monografji.“ Mikoły Kostomarowa. (Ruska istoryczna biblioteka, pid redakcieju Oł. Barwińskoho, t. II.) Ternopol. 1886, str. 232.

„Oceania.“ Historya świata zaginionego. Przez M. Jokaj'a. Z węgierskiego przełożył A. Lange. Łódź, 1886, str. 75.